



ROK 1924.

WARSZAWA, 6 GRUDNIA

## TREŚĆ NUMERU:

W odpowiedzi „Kurjerowi Polskiemu.” Weteranki nauki polskiej a nowe pokolenie uczonych kobiet—C. W. Niebezpieczeństwo—Z. Zawiszauka. Jak walczyć z nerwowością naszych dzieci—K. S. O metodę nauczania literatury ojczystej w szkole średniej—Z. Szmydtowa. Urywek z pamiętnika (dok.)—H. S. Wiersze (dok.)—Zofia Rościszewska. Szanujmy cudzy czas (feljeton)—W. Miłaszewska. Łucja z Pokucic (nowela) c. d.—Marja Dąbrowska. Drogami duszy (powieść) c. d.—Halana Ceysingerówna. Marja Wołkońska i Teresa Confalonieri (c. d.)—K. Bielańska. Kobieta w świecie i w domu—Z. B. Z Krakowa—Marja Hornowska. O nadużywaniu narkotyków—Dr. G. Majewska. Księżyc i rośliny—Jadwiga Kor. Prezenty—W. Płaszczki zimowe—Hrabina Annie. Wskazówki praktyczne—Pani Elżbieta. Nadesłane do Redakcji. Dodatek powieściowy: „Czar Kwietniowy” tom II, (przekład z angielskiego)—przez autorkę „Elżbiety i Jej Niemieckiego Ogrodu.” Dodatek robót i ubiorów. ARKUSZ WZORÓW. DODATEK ŚWIĄTECZNY: ZABAWKI DLA DZIECI.

## W ODPOWIEDZI „KURJEROWI POLSKIEMU”

Zainteresowanie t. zw. kwestją kobiecą spotęgowało się bardzo w ostatnich czasach w całym cywilizowanym świecie. Wyrazem tego są, jak grzyby po deszczu wyrastające w Zachodniej Europie i za oceanami pisma kobiece, coraz częściej pojawiające się obszernie artykuły w poważnych dziennikach całego świata, odczyty, konferencje, zebrania dyskusyjne, zjazdy i t. p., i t. p.

Wojna Europejska wstrząsnęła życiem ekonomicznym państw i narodów, szybki rozwój form gospodarczych uczynił w ostatnim pięćdziesięcioleciu tak wielki krok naprzód—że zachwiała się dotychczasowa konstrukcja życia tej najdrobniejszej komórki społecznej—jaką jest „rodzina”, a wielki prąd przemian silnie uderzył o każdy najspokojniejszy i, zda się, najbardziej zamknięty w sobie dom rodzinny.

Gdy więc jeszcze nie tak dawno na głównym sztandarze t. zw. „spra-

wy kobiecej” było wypisane wielkimi głoskami hasło walki o prawa wyborcze kobiet—dziś nawet w krajach—gdzie kobiety praw tych jeszcze dotąd nie posiadają—hasło to zda się ustępować wobec naporu kwestyj innych, palących, groźnych w swojej żywiołowej sile—kwestyj godzących, w podstawę i fundament życia kobiety—bo w jej rodzinę, w jej możność i najświętsze prawo wychowywania własnych dzieci, w dotychczasową organizację jej dnia codziennego. I jeżeli do niedawna walka o prawa wyborcze kobiety i wogóle o jej równouprawnienie entuzjazmowała nieliczne grono inteligentek—dziś zagadnienia, wiążące się z t. zw. sprawą kobiecą, wywołują zainteresowanie szerokich warstw kobiecych.

Dziś tą kwestją musi interesować się żona ministra i żona najuboższego robotnika, bo każda z nich w ten lub inny sposób w życiu swo-

jem zetknęła się oko w oko z zagadnieniem dnia, które stanęło nieubłaganą, twardą stopą na progu jej domu. Bo jedną i drugą wciągnie w swe tryby jedna ze spraw, wpływających na powierzchnię życia kobiecego—czy to będzie kwestja ochrony macierzyństwa, czy pracy zawodowej kobiet, czy coraz większy brak służby domowej, czy epidemia rozwodów, rozbijająca podstawy życia kobiety, czy wzrastająca w zatrważający sposób śmiertelność dzieci, czy zjawiająca się u nas, za fatalnym przykładem Francji, bezdzietność małżeństw wśród pracującej inteligencji, czy wreszcie upadek naszej rasy, coraz bardziej schrałaj i nędznej i t. d., i t. d.

Wszystko to są zagadnienia tak mocne i tak potężne—jak samo życie. Nic więc dziwnego—że wywołują one na całym świecie ożywioną i namiętną wymianę zdań, że przykuwają najwybitniejsze umysły i że



odbijają się głośnie echem w prasie całego świata.

U nas niestety jest mimo wszystko głucho w tej sprawie. Tu i owdzie pojawiający się artykuł, tu lub tam wygłoszony odczyt, czy zorganizowany wieczór dyskusyjny — dalekie są od przemyślenia, przeanalizowania, od mocnego postawienia tych spraw, które są dla naszego życia groźnym memento!

To też „Bluszcz“, który od dłuższego czasu te kwestje porusza i omawia, przywitał z wielką radością i wielkim zaciekawieniem wiadomość, że „Kurjer Polski“, jedno z poważniejszych pism w stolicy, otwiera „dział kobiecy“, że obok działów ekonomicznego, politycznego i innych, prowadzonych przez specjalistów i przez pióra fachowe, postawi dział nowy — niemniej ważny od działów wyżej wymienionych,

Dla całego świata kobiecego jasnym było, że poruszanie spraw i zagadnień życia kobiecego na łamach dziennika, rozchodzącego się wśród licznych czytelników, przyczyni się poważnie do głębszego rozważenia oraz do teoretycznego i praktycznego sformułowania tych palących zagadnień.

Pocieszającym był fakt, że obok rozsianych po różnych dziennikach „kącików dla pięknych pań“, podających ostatnie echa krzyku mody i wybryków różnych lalek i strojnisz paryskich — w codziennej prasie polskiej powstanie rubryka, nosząca tytuł poważny, tytuł zobowiązujący — *Dział kobiecy*. Ufni zasadzie, że „noblesse oblige“ — czekaliśmy na głos poważnego dziennika z zainteresowaniem i z całkowitą pewnością, że przecież przyniesie on cenne słowo w kwestjach, nurtujących umysł naszej kobiety.

Tymczasem!...

Na czołowym miejscu znana i bardzo utalentowana powieściopisarka i poetka M. H. Szpyrkówna zabiera głos i mówi o kobiecie. „My kobiety...“ Słuchajmy! Temat szalenie ciekawy.

Tyle mężczczyźni mówili już o kobietach — niechże teraz kobiety same powiedzą słowo o sobie. To jest daleko bardziej nowe, pociągające i niezwykle. Niech dadzą samoanalizę i samookreślenie — będzie to tem ciekawsze — że kobieta mówi będzie o kobietach ustami bardzo zdolnej literatki.

Lecz oto p. M. H. Szpyrkówna pod obiecującym tytułem „My ko-

biety...“ uważała za stosowne mówić, wprawdzie ładnie i literacko bardzo poprawnie, ale tylko o... modach — jakby dzisiejszą kobietę nic innego nie interesowało.

„Nieszczęśnik, któryby sobie uprojektował skreślić przyszłym pokoleniom sylwetkę „d'une femme moderne“, popadłby niechybnie w ciężki rozstrój nerwowy. Znakomitszej „rakaki“ niż kobieta dzisiejsza — wyobrazić się nie da“ — pisze p. M. H. Szpyrkówna — a dalej dodaje:

„Kobieta współczesna — to sztucznie szczepiony na szarej łądydze życia storczyk kosztowny, wyszukany i — niesamowity“.

Wszystko to bardzo pięknie i poetycznie powiedziano, ale słyszałyśmy już to tyle razy. Nie, nie — nie my, ale nasze ciotki, tak! to nasze dobre, zacne ciotki pokazywały nam listy od „Niego“ w których, były nazywane „wyszukanym storczykiem“, „tajemniczym sfinksem“, „egzotyczną, niezrozumianą istotą“. Potem „on“ odchodził, zapominał, zdradzał... a w ręku zostawał tylko ten list z czarno na białym wypisanym „storczykiem“. Dziś... już nam te komplementy nie wystarczają. Kobiecie współczesnej zamiast porównania do „storczyka“ bardziej przypadnie do gustu, gdy „on“ z prawdziwym zachwytem zawoła: „świetnie chodzi pani po górach, może jutro wybierzemy się na Rysy“.

Po dancinгах i w dusznej atmosferze sal restauracyjnych znajdziemy dużo różnych wymalowanych papużek, nienaturalnych małpek, wypudrowanych poczwerek z modnie przylizanym łebkiem ze śladem kurzego mózdzku. Ale czyż dla tych kobiet ma zamiar poświęcić jedną kolumnę poczytny i poważny dziennik stołeczny, jakim jest „Kurjer Polski“ — czyż o tych kobietach ma mówić kierowniczka tego działu — w artykule noszącym bardzo obowiązujący tytuł — „My kobiety“.

To jest jakieś grubsze nieporozumienie.

Niestety nieporozumienia tego nie usuwają następne dwa numery „Kurjera Polskiego“, przynoszące z sobą kolumnę „Działu Kobiecego“.

M. H. Szpyrkówna stawia tezę, że trzeba „zamerykanizować“ naszą pracę kobiecą i daje tym razem cały „Dział Kobiecy“ tak skonstruowany — jakby urodził się nie w Warszawie — ale w jakimś Chicago czy innym Buffalo.

A więc same tłumaczenia! Herriot Dey, Gladys Cooper — a nawet jakieś „amerykańskie dziewięcioro przykazań w sprawie Marysi do wszystkiego“. Mój Boże! Jak strasznie ubogie musi być nasze własne życie — jeżeli wszystko musimy czerpać aż z Ameryki i cały „świat kobiecy“ stawić na amerykańskich nogach.

W tymże amerykańskim duchu chciałaby p. Szpyrkówna widzieć zmieniony „Bluszcz“.

Wiem, — że pismo nasze ma jeszcze niejedyn brak, sama to widzę doskonale i świadomość — że jest przed nami jeszcze szeroka droga doskonalenia się daje dużo uroku pracy i powiększa nasz zapał.

Ale rady, — których udziela p. Szpyrkówna „Bluszczowi“ są mimo wszystko chybione. „Chciałoby się poradzić Bluszczowi, pisze p. Szpyrkówna, aby poprzecinał swe długie szpalty barwnymi ilustracjami, rzucił tu i tam szereg kobiecych główek, kotów na poduszkach, dzieci i kwiatów, skrócił artykuły fachowe, rozszerzył beletrystykę“.

Istotnie numer „Bluszczu“ z barwnymi ilustracjami — byłby dla całego zespołu redakcyjnego „Bluszczu“ przedmiotem niezwyklej radości. Ale... zaiste — nie koty na poduszkach — zajęłyby tam miejsce dominujące — Nie, nie — mimo wszystko życie nasze nie jest już aż tak bardzo pozbawione treści — by trzeba było zapełniać je najpiękniejszymi nawet kotami!

Znajdziemy treść inną, bogatą, żywą, a przede wszystkim tętniącą naszym własnym, realnym życiem z krwi i kości.

Jeżeli w tej chwili przez łamy „Bluszczu“ mało przewija się humoru, to nie dlatego — abyśmy się śmiać nie umiali, — (zbyt dużo młodych sił kobiecych grupuje się koło naszego pisma, by tu miała gościć melancholija i smutek), ale dla tego, że zaprzątają w tej chwili nasze umysły palące zagadnienia dnia, ku którym idziemy, nie z moralizatorskim grymasem belfra, ale z pełną zapału odwagą i wiarą we własne siły. W tem niema nic z nudy, czy z mentorstwa.

W tem jest największy czar, największy wdzięk młodości, w tem jest, że tak powiem „uroda życia współczesnej Polki“ — i w tem jest siła naszego pisma, które, wierzymy w to głęboko — jest pismem każdej myślącej kobiety.



# WETERANKI NAUKI POLSKIEJ A NOWE POKOLENIE UCZONYCH KOBIEC

Wielkie nazwisko Marji Skłodowskiej-Curie nie przestanie być po wsze czasy tarczą przed pociskami wrogów wyższego wykształcenia kobiet. W plejadzie uczonych świata całego jest M. Curie słońcem, którego promienie odkryły drogę najwyższych wtajemniczeń. W plejadzie weteranek nauki polskiej — najmłodsza może wiekiem — staje na czele tego bujnego wykwitu umysłów kobiecych, który uderza i zastanawia w ciągu ostatnich lat 30.

Pytamy siebie ze zdziwieniem, czem się dzieje, że dziś — gdy uniwersytety nasze otworzyły przed kobietą naścieżaj swe podwoje, — nazwisk jej prawie nie spotyka się w prasie naukowej, podczas kiedy absolwentki polskie pierwszych wyższych zagranicznych uczelni przepełniały pracami swemi wszystkie obcokrajowe i rodzime organy, poświęcone wiedzy ścisłej.

M. Skłodowska-Curie nie pisała, bo pochłaniała ją trud mozolnych badań odkrywczych, które — po latach znoju i skupienia — miały rozbłysnąć cudem prometejskich objawień. Ale pierwsze nasze filozofki, przyrodniczki, ekonomistki, antropologistki weszły w szeregi uczonych pisarzy świata całego, tak żwawo i szybko zespoliwszy się z rytmem nauki współczesnej, że nie wyobrażamy sobie tempa jej bez ich współdziałania. Każda wniosła głębokie zasoby własnych i cudzych przemyśleń, dając z siebie pracę twórczą, opartą na mocnym umiłowaniu zadań swoich.

W epoce niewoli wyrastał duch nasz kosztem skrepowanego więzami ciała narodu. Obok genialnych powieściopisarzy i poetów (Sienkiewicz, Prus, Żeromski, Reymont, Sieroszewski, Orzeszkowa, Konopnicka, Asnyk, Wyspiański, Tetmajer), obok potężnych malarzy (Chełmoński, Brandt, Siemiradzki, Stanisławski, Wyczółkowski, Szymanowski), obok wieko pomnych artystów dramatycznych (Królikowski, Żółkowski, Modrzejewska, Derynżanka) obok uczonych historyków, przyrodników, filozofów, antropologów stanęła pierwsza studentka polska

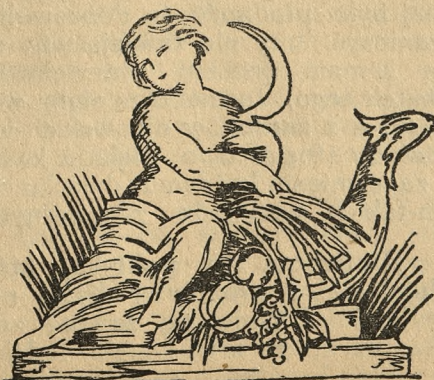
Prace dr. Józefy Joteyko, dr. M. Stefanowskiej, dr. Z. Daszyńskiej-Golińskiej, dr. J. Kodisowej, dr. M. Czaplickiej, dr. Dobrzyńskiej-Rybickiej, dr. M. Grzegorzewskiej były stałym łącznikiem pomiędzy nami a zachodem.

Nie miała Polska warsztatów dla uczonych swoich. Nie miała ka-

tedr profesorskich, nie miała wielkich laboratoriów i terenów doświadczalnych, a jeżeli powstały, to nie dla badaczy miejscowych. Korzystał z nich żywioł napływowy, obcy, wrog.

Opublikowała — głównie w języku francuskim — 200 przeszło prac naukowych z dziedziny fizjologii, psychologii doświadczalnej i pedagogii dr. Joteykówna, współpracowniczką instytutów Solvay'a w Brukseli, redaktorka kwartalnika „La-revue psychologique”, założycielka Międzynarodowego Fakultetu Pedagogicznego, laureatka Paryskiej Akademii Nauk i Akademii Medycznej i t. d. Dwadzieścia prac naukowych ma za sobą dr. M. Stefanowska z dziedziny neurologii i morfologii. Przeszło 100 prac wydała dr. Z. Daszyńska-Golińska z zakresu ekonomii społecznej, spraw robotniczych, kwestji kobiecej. Wiele wydawnictw ma za sobą dr. J. Kodisowa z dziedziny teorii poznania, filozofii nauki, psychologii. Zasłużyła się kilkoma dziełami naukowymi dr. L. Dobrzyńska-Rybicka, docentka uniwersytetu poznańskiego, a także dr. M. Grzegorzewska, która upodobała sobie studia nad rozwojem zmysłu estetycznego u dzieci i młodzieży. Zmarła zagranicą nieznaną u nas prawie dr. Marja Czaplicka, członek kolegium w Sommerville i „Lady Margaret Hall”, w Oxfordzie, lektorka etnologii na uniwersytecie oxfordzkim, prof. antropologii w Bristolu, laureatka T-wa Geograficznego, autorka kilku prac etnograficznych.

Te nasze uczone — skończywszy uniwersytety zagraniczne — pisały przeważnie do pism naukowych obcych — francuskich, belgijskich, niemieckich, angielskich, nie zapominały jednak o swoich. Nieliczne nasze organy naukowe, jak Przegląd i Ruch filozoficzny, stały były zasilane przez nie.



Dlaczego dziś — kiedy wyższa nauka stała się dostępną dla kobiet wszystkich krajów cywilizowanych — prace ich w dziedzinie wiedzy pojawiają się coraz rzadziej?

Mamy już drugą serję wybitnych uczonych, absolwentek naszych wyższych polskich uczelni, jak dr. Zofja Gąsiorowska-Szmydtowa, której praca „Służba narodowa w sprawie Andrzeja Towiańskiego” została uznana za pierwszą naukową książkę o tym filozofie — mistyku polskim, jak dr. Cezarję Ehrenkreutzową, i kilka innych. Piszą one jednak stosunkowo niewiele i już bez tego szalonego rozmachu, który rozślawił nazwiska pierwszych naszych uczonych po całym świecie.

Może ktoś powie: „Nie pozwalają twarde warunki bytu”. — Ale — czyż nie przez stokroć cięższe próby przeszły przodownice ruchu naukowego wśród kobiet naszych zagranicą? — Choćby nawet i M. Curie, która — pracując nad odkryciem radu — równocześnie sama — bez pomocy służby — prowadzić musiała gospodarstwo domowe i opiekować się dwojgiem dzieci?

Nie walce o byt należy przypisać chwilowy zastój w dziedzinie autorstwa naukowego kobiet, lecz raczej może pewnemu odprężeniu sił, które zbyt wybujały w ostatnim ćwierćwieczu.

Kobiety są dziś asystentkami, docentkami, profesorami na katedrach uniwersyteckich, zapełniają laboratoria, stają przy warsztatach doświadczalnych. Ze nie wydały prac rozgłosnych, zjawisko to powtarza się na całym świecie.

Równocześnie prawie z nazwiskami naszych uczonych rozbłysnęły na zachodzie nazwiska Marjanny Weber, Lili Braun, Klementyny Roger, Wiktorji Penny, Logh Smith, dzielnych ekonomistek; Aleksandry David, Tumarkiny, Elżbiety Smidt, Lady Sidgwich — filozofek; Jane Dienlafoy — archeologistki; Lady Anggins, pani Chandou — astronomek; Idy Smodley, Nadziei Ziber-Szumowej — chemiczek; Zofji Kowalewskiej, Millicent Fawcett, Ethel Sargent — matematyczek i całej licznej grupy przyrodniczek.

Dziś — nauka ogarnęła szersze masy kobiet, zdemokratyzowała się i musi czekać na genjusz w rodzaju M. Skłodowskiej Curie. C. Walewska



## NIEBEZPIECZEŃSTWO

„Ludzie, dla których sprawy życiowe przedstawiają się lekko — i płytko — mają na to (na ciężkie warunki materialne) jedną odpowiedź: nie mieć dzieci. Jasne! jeżeli się niema majątku, to nie ma się dzieci. W najgorszym razie można sobie pozwolić na zbytek jednego dziecka.”

Oto znowu cytaty z artykułu p. P., p. t. „Ważne zagadnienie”. Przytaczam go nie dla polemiki, lecz przeciwnie, w celu dalszego rozwinięcia myśli autorki. Bo dotknięto tu mimochodem sprawy głębokiej i trudnej, która uderzała mnie już nie raz swym tragizmem — sprawy, na którą żaden chyba dojrzały umysł nie może być obojętnym.

Minęły już te czasy — proste i surowe — gdy każda rodzina tyle miała dzieci, ile ich „Pan Bóg dawał”. Był to obowiązek społeczny i religijny zarazem, ciężki wprawdzie, lecz niosący w sobie najczęściej wiele radości pięknych i zdrowych. Ojciec większe miał zwykle grono do wyżywienia, matka pracą domową i fizjologiczną nieraz ponad siły, lecz zadanie wychowawcze naogół prostsze: wiadomo przecież, że dzieci w większej gromadce wychowują się jakby wzajemnie, że samo współżycie ściera wiele „kantów” i znakomicie kształtuje charaktery. Nikomu zresztą nie przyszłoby na myśl, że może być inaczej — że możnaby dowolnie temi sprawami kierować. Ot, woła Boska, z którą trzeba się zgadzać, jak kto umie!

Lecz nauka, przetwarzając naszą cywilizację w coraz szybszym tempie, wprowadziła stopniowo czynnik woli ludzkiej i w tę dziedzinę życia pufną, tajemniczą a tak doniosłą. I za prawdę trudno orzec, czy to dobrze, czy źle się stało.

Jest to w każdym razie zuchwałé wtargnięcie w zamysły przeznaczenia — krok śmiały, a niebezpieczny. Bo czyż gatunek ludzki dojrzał już do całkowitego kierowania swoim losem? o ile przystoi mu rola świadomego twórcy?

Jakżeby się przeraził każdy niemal z nas, gdyby mu kazano wybrać dzień i godzinę swojej śmierci! Jeżeli nie przeraża się taksamo na zapytanie: czy i kiedy się zdecydować na poczęcie dziecka? — to jedynie dlatego, że nie zdaje sobie sprawy z jego przepastnej głębi. Bo wszak w jednym i w drugim wypadku są to kwestje bytu i niebytu — kwestje „genezyjskie”, wiążące nasz dzień powszedni z nieogarnioną wiecznością — kwestje, na które my sami czujemy się prosto za mali i za głupi.

To też, do niedawna nikt się nas o decyzję nie pytał: jak ludzie

umierają wtedy, gdy muszą — tak i rozdzielili się za sprawą instynktu, kierowanego nieraz świętym tchnieniem miłości. Aż tu nagle przesuwają się podstawy tego przyrodzonego ładu: człowiek został powołany do rozstrzygnięcia, czy i kiedy ma dawać życie! Ta nowość sięga głębiej, niż wszelkie inne wynalazki, przekształcające życie od strony raczej materialnej. Niepostrzeżenie, cichutko dokonuje się w naszych oczach epokowy przełom moralny. Człowiek, stając się panem nowej zupełnie dziedziny woli, albo urasta do godności rozumnego twórcy życia, albo też spada na niższy znacznie od dawnego szczebel, bo zrzuca z siebie wszelkie obowiązki, płynące z instynktu.

Nie gorszą się tem bynajmniej, jeżeli dane małżeństwo nie chce w pewnym okresie mieć dzieci — ale jedynie wtedy, gdy się to dzieje dla jakichś ważnych względów. Choroba, niedostatek, zbyt wczesny, lub zbyt późny wiek rodziców, czasem nawet jakaś wyjątkowo przykra atmosfera domowa — to wystarcza, aby unikać wprowadzenia nowego gościa — poprostu dla jego własnego dobra.

Jakież to dobrodziejstwo, że młoda, nieraz wątła kobieta, osłabiona pierwszym pocięciem, nie musi bezpośrednio po karmieniu (a czasem i podczas niego) powtórnie zostawać matką! Posuwam się nawet w „wolności” tak daleko, że uznaję zupełnie małżeństwa ludzi chorych, którzy sobie z góry postanawiają, że wcale nie będą mieli dzieci. Dlaczegoż np. suchotnik lub epileptyk ma się wyrzekać miłości, skoro można żyć w normalnym małżeństwie, nie mając dzieci, a więc nie przekazując nikomu w dziedzictwie swoich cierpień fizycznych?

A nędza!... Wiem, wiem, ile dumy i nadziei budziła w nas zawsze żywiołowa plenność „polskich królików” — właśnie tych najbiedniejszych. A przecie policzmy, ile tego drobiazgu umiera w pierwszych miesiącach życia — i zastanówmy się, czyby nie lepiej było płodność tę dobrowolnie ograniczyć. Czy nie zmniejszyłby się tem samym procent śmiertelności, wskutek tego, że matki miałyby więcej sił, a z zarobków ojcowskich wypadałaby stosunkowo większa kwota na zapewnienie każdemu dziecku jakich-takich warunków zdrowotnych?

„Potworna to polityka, która raduje się z grobów i liczy niemowlęta!” I mnie się zawsze zdawało, że żywej krwi i męki ludzkiej nie wolno brać tylko za materiał statystyczny — i że we wszelkiej produk-

cji, prócz ilości, wchodzi w grę także i jakość. Z tych wszystkich powodów uważam, że możeby dobrze było zdemokratyzować trochę ową nowoczesną dowolność powiększania rodziny.

Ledwie to napisała, a już się przestraszyłam własnej myśli i jej możliwych skutków. Bo widzę dobrze i odwrotną stronę medalu, bardzo w tym wypadku niebezpieczną... Mówiłam o ważnych powodach. A teraz przypatrzmy się, z jakich to przyczyn różne znajome mi małżeństwa zdrowe, zgodne i w dostatku żyjące — dobrowolnie nie mają dzieci.

Jedno z nich, dość późno skojarzone, odwleka ważną decyzję z roku na rok, z powodu ciasnoty mieszkania... składającego się z 3 — prócz kuchni i łazienki — suchych i słonecznych pokoików! Druga para, znacznie młodsza, poprzestaje od 5-ciu lat na jednym dziecku, gdyż matka tak się obawia cierpień porodowych, (które przechodziła nie ciężej wcale, niż każda przeciętna kobieta) że wszystkie inne względy wobec tego błędą.

Są to dwa wypadki autentyczne i dokładnie mi znane. W wielu innych zgaduję coś podobnego: rozpanoszenie się wygodnisiostwa ponad wszystko, zanik zdrowego instynktu rasy, brak skrupułów w czerpaniu z miłości wszystkiej rozkoszy, bez żadnych jej naturalnych konsekwencji.

Jest to właściwie sprytné oszukiwanie natury i społeczeństwa — a nawet i siebie samego. Bo któż wie, czy kiedyś w starości nie odezwie się, beznadziejna już, tęsknota za dzieckiem? — któż wie, czy straszliwy dopust boski nie zabierze tego jedyne go właśnie, na które zdobyło się przemądre skąpstwo, czy tchórzostwo rodziców? Ach, cóż możemy wiedzieć! — my, co się ośmielamy wkładać w atrybuty Stwórcy! On dał porwy w zmysłów na to, aby się ludzie mnożyli, aby „podawali dalej” odwieczną nić rozwoju — kto się tego typu miłości nie wyrzeka, ten nie ma prawa również zrzucić ze siebie jej skutków. Jeśli musimy czasem zastanawiać do tej sprawy swoje ziemskie rozumowanie, to nie psujmy jej przynajmniej mędrkowaniem małodusznym, tak podobnym nieraz do wykrętów!

To też wszelkie te Ein- i Zweikinder-systemy uważam za chyblone i niesmaczne. Ludzie młodzi, zdrowi, kochający się, powinni pragnąć dzieci i to bez rachowania — powinni ich mieć tyle, ile zdołają zdrowo wychować.

Powtarzam: trzeba mieć ważne powody, aby sztucznie hamować naturalny bieg rzeczy w tem państwie



tajemniczem i cudownem. Wszelkie małe względziki, wątpliwości i niewygody powinny ustąpić wobec świętego prawa przyrody! Zwłaszcza kochając naprawdę, jakżeby można nie odczuć tych słicznych i prostych słów, największej dziś bodaj w Polsce poetki:

„...Snią mi się małe twarzązki,  
Tak do ciebie i do mnie podobne”...

Któż wie, która z tych główek będzie kiedyś największą, niezastąpioną pociechą rodziców, a która — może genjuszem, chwałą, ratunkiem narodu? Warto przypomnieć, że wielcy ludzie rzadko bywali jedynekami, a przeważnie zajmowali środkowe miejsce w szeregu licznych rodzeństwa. To daje dużo do myślenia... Może jednak jakość niezawsze ma się odwrotnie do ilości? Może właśnie

dlatego tak piękną jest tęsknota młodej pary za gromadką dzieciaków „do ciebie i do mnie podobnych”?

Razem z tą tęsknotą zanika zdrowie moralne i społeczne. Nie tylko zmniejsza się przyrost ludności, (co można do pewnego stopnia wyrównać energicznym zwalczaniem śmiertelności), lecz w głębi dusz rozrasta się poczucie prawa do używania z usunięciem się od obowiązków — poczucie, rozszerzające się z tej jednej dziedziny na wszystkie inne.

Niedarmo też znaczne zmniejszenie płodności towarzyszyło zawsze upadkowi narodów — było ponurym zwiastunem klęski dziejowej. A wewnątrz społeczeństw, klasy najmniej się mnożące, są oczywiście skazane na stopniowy zanik. Smutne to „memento” dla naszej inteligencji, która zbyt często niestety ratuje się w kry-

zysie swym ekonomicznym — bezdzietnością. Jest to broń samobójcza — i oto już w naszych oczach słabnie ta część społeczeństwa, która powinna być niejako jego mózgiem, łącznikiem powieży starą, a nową jego kulturą. Poważna to szkoda dla Polski i trzeba sobie z tego zdać sprawę.

Powie ktoś może, że jestem niekonsekwentna, przedstawiając śmiało obie te strony medalu: jedną zachwycającą, a drugą bardzo groźną? Cóż robić, kiedy życie właśnie jest takie i mało co na świecie wyraźnie bywa dobre, lub wyraźnie złe! Cała sztuka w tem, aby znaleźć i zastosować jakiś „złoty środek”.

Idzie mi zresztą także o wywołanie dyskusji, tem bardziej, że w tej skomplikowanej sprawie znajdują się napewno takie strony, których tu wcale nie poruszyłam. Z. Zawilszanka.

## JAK WALCZYĆ Z NERWOWOŚCIĄ NASZYCH DZIECI

### I.

Tak, walczyć trzeba, bo nerwowość jest jednym z największych naszych wrogów, wrogiem nie tylko zdrowia fizycznego, ale i naszej duszy i naszych myśli, uczuć i działania. Nerwowość jest wrogiem naszej moralności i wprowadza chaos w ocenę etyczną, służąc często, zbyt często, za parawan słabości charakteru i wszelkiego rodzaju złym czynom. Nerwowość jest wreszcie jedną z najpoważniejszych trudności, jakie się napotyka w pracy wychowawczej.

Nie piszę o chorobach nerwowych, ani o sposobie ich leczenia. Jest to sprawa medycyny i lekarzy. Chodzi mi o to, co potocznie nazywają nerwowością, a więc o ten stan nadwrażliwości nerwowej, tak bardzo obecnie rozpowszechnionej i o sposobie zapobiegania jej przez odpowiedni system wychowania. Chodzi mi więc o pewne „leczenie” zapobiegawcze, o profilaktykę zarówno fizyczną, jak i duchową.

Najprostszymi objawami nerwowości u dzieci są: zły sen i zły apetyt, wielka pobudliwość do płaczu, śmiechu i irytacji, zmienność usposobienia, niejednolita pilność w pracy, lękliwość, zbyt wielkie, lub zbyt małe poczucie odpowiedzialności. Są to zjawiska tak dobrze nam znane, że nie trzeba wdawać się w jakieś szersze opisy. Każdy z nas, kto bliżej styka się z młodzieżą — w domu czy w szkole — kto młodzież tę rozwija i wycho-

wuje, wie dobrze, jak ciężko walczyć trzeba z temi objawami — pośrednio, lub bezpośrednio. Każdy z nas mógłby przytoczyć tysiące przykładów na to, jak uciążliwą przeszkodą w pracy wychowawczej bywa zły stan nerwów u dzieci, ile wywołuje sprzeczności i ile kolizji, z których najdzielniejszym nawet wychowawcom często trudno jest wybrnąć.

Przyczyna nerwowości u dzieci głównymi swymi korzeniami tkwi niezawodnie w dziedziczności. Rozmaitego rodzaju „grzechy”, czy to ludzkości całej, czy też rasy, danego rodu lub samych rodziców, mszczą się w pierwszym rzędzie na systemie nerwowym potomstwa. Nadużycia organizmu fizycznego, czy psychicznego sumują się z pokoleń na pokolenia, dając w rezultacie ten stan fatalny, na który tak powszechnie rozlegają się skargi. A jeśli zważymy, że do niedomagań z urodzenia dołączają się bardzo często, niedomagania, pochodzące z błędów wychowania, zarówno fizycznego jak i duchowego — łatwo będzie pojąć, dlaczego już w ostatnich latach przed wojną tak zastraszająco prędko wzrosła ilość ludzi nerwowo ch o r y c h.

Czy trzeba przypominać, jaki wpływ wywarła wojna w tym kierunku? Czy trzeba wspomnieć o strasznych skutkach głodu, chorób, złego powietrza w ciasnych mieszkaniach, ciągłego lęku o osoby najbliższe, ciągłej żałoby po kimś najdroższym,

nieustających kłopotów i zmartwień, nieustającego smutku i rozpacz?

Zapełniły się zakłady szpitalne zapełniły się sanatoria, a ci, co zostają w domu, bo nie mają się za co leczyć, lub nie wiedzą, że się leczyć powinni, wytwarzają atmosferę, w której nie może być mowy o chowaniu dzieci nerwowo zdrowych. Nie może być mowy tem bardziej, że te dzieci już odziedziczyły słabe nerwy.

Du urobienia atmosfery nerwowej przyczynia się ponadto cały szereg innych czynników życia współczesnego, że wymienię takie zjawiska. Jak: ciężkie warunki materialne, zakłócenie życia rodzinnego, niepewność jutra — wreszcie walki polityczne, demonstracje i t. p.

Jeszcze raz podkreślam, że nie chodzi mi o choroby nerwowe, a więc o stany zdecydowanie patologiczne, bo te wymagają już opieki lekarskiej — a raczej o ogólną nerwowość, czyli o skłonność w tym kierunku. Dodam tylko, że między temi stanami istnieje często tylko różnica ilościowa, t. zn., że z takiej ogólnej nerwowości powstają często bardzo ciężkie choroby nerwowe, o ile przez odpowiedni tryb życia, przez odpowiedni sposób wychowania w porę się temu nie zapobiegnie. Że nasz tryb życia stał się nieodpowiedni t. zn. dla zdrowia wysoce szkodliwy, świadczy ogromna ilość ludzi chorych na nerwy — a więc na chorobę dawniej prawie nieznaną. Z wielką słuszością



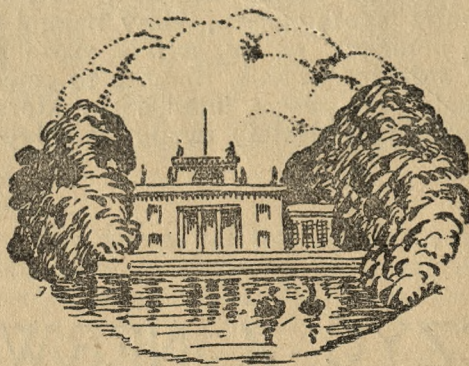
możnaby nazwać nasz wiek pary i elektryczności, automobilów, aeroplanów i t. p. wynalazków, które przyspieszyły tętno życia, walki i wszelkiego rodzaju hazardów — wiekiem chorób nerwowych.

Tryb życia — zwłaszcza wielkich miast — stał się wprost zabójczy! Ale tego niestety już cofnąć nie możemy. Trzeba raczej wymyśleć jakieś antidotum, jakieś środki ubezpieczające przed grożącym niebezpieczeństwem. Mam wrażenie, żeśmy się dotychczas nie nauczyli przystosowywać do zmienionych warunków życia i stąd to naruszenie równowagi systemu nerwowego. Trzeba przede wszystkim pomyśleć o ratowaniu dzieci i wszelkimi dostępnymi środkami przez odpowiedni system wychowawczy przysposobić i niejako zahartować nerwy na czekające je wysiłki.

Najlepszym rozwiązaniem tej kwestji, byłoby bez wątpienia przeniesienie młodzieży — zwłaszcza młodzieży nerwowej i wątłej — na czas trwania rozwoju i nauki na wieś. Wiemy, że społeczeństwa zachodnie już dawno o to się zatroszczyły. W Anglii, Francji, Belgii, Niemczech,

Szwajcarii i t. d. istnieje już od lat, wiele szkół średnich z internatami na wsi, a choć wypadki wojenne i ciężkie warunki powojenne musiały z konieczności powstrzymać tempo rozwoju tego systemu szkolnego, jest wszelka nadzieja, że w przyszłości pójdzie on niezawodnie w tym kierunku.

I u nas zrobiono już pierwsze skromne próby. Pomijając liczne, pod pewnymi względami zresztą dobrze prosperujące, gimnazja klasztorne na wsi, należy wspomnieć o najbardziej do zagranicznych wzorów zbliżonej próbie ks. Gralewskiego — niestety



przez wojnę udaremnionej — gimnazjum w Starej Wsi. Ks. Gralewski umarł, ale myśl jego została i zostali jego współpracownicy, którzy ideę tę, w sprzyjających warunkach, niezawodnie będą się starali urzeczywistnić.

Przeciwko szkołom na wsi podnoszą się często między innymi dwa główne zarzuty: 1) że są za kosztowne; 2) że pozbawiają rodziców współżycia i wpływu na dzieci w wieku, kiedy te dzieci najbardziej wpływowi podlegają.

Z pierwszym z tych zarzutów łatwo się rozprawić. Trudno! — gdy chodzi o takie rzeczy, jak: zdrowie, należyty rozwój — jednym słowem przyszłe szczęście młodego pokolenia, nie można krępować się kosztami. Sprawa ta jest warta chyba największych wysiłków. Zresztą z chwilą gdy system ten się rozpowszechni, gdy stanie się systemem państwowym, trudności te zmniejszą się do minimum. A nie należy przy tych obliczeniach zapominać także, że przecież wyżywienie i wychowanie dzieci w domu też kosztuje i to znacznie więcej może, niż to nam się na pozór wydaje.

(c. d. n.)

K. S

## O METODĘ NAUCZANIA LITERATURY OJCZYZESTEJ W SZKOLE ŚREDNIEJ

Budowa szkolnictwa polskiego, podjęta przez polskie Ministerjum W. R. i O. P. musiała się dokonać pośpiesznie i kompromisowo. Przyswiecał twórcom nowego programu cel doniosły: ujednostajnienie wymagań, stworzenie jednego typu szkoły na całą Polskę. Stąd pośpiech. A i kompromis był nieunikniony. Szkoły każdego zaboru miały swój odrębny charakter, swój system, swoich wybitnych pedagogów. Należało ich odmiennie stanowiska uzgodnić.

Obie okoliczności zemściły się na programie, który zawiera przez to pewne niedociągnięcia i niejasności.

Pisano ów program w Warszawie, myśląc przede wszystkim o szkołach b. Królestwa, dlatego są w nim silne akcenty polemiczne przeciw werbalizmowi, nadużyciu wykładu i notatek.

Z niebezpieczeństwem tem walczyli już oddawna wybitni pedagogowie. Prof. Chlebowski na lekcjach swych dawał od siebie ramy chronologiczne i pewne powiązanie ideowe czy artystyczne, ale punkt ciężkości przesunął na czytanie i wyjaśnianie faktów. Pytał młodzież tylko

o te utwory, które poznała z lektury. Inni poszli dalej jeszcze. Nie wyjaśniali, lecz zmuszali młodzież do samodzielnej analizy przez stawianie umiejętnie zbudowanych pytań.

Tak się zrodziła metoda dyskusyjna w praktyce szkolnej, zanim ogłoszono jej rzady w programie ministerjalnym. Pionierami tego kierunku byli w Warszawie pp. Drogoszewski, Wóycicki, Komarnicki.

Program, który nas dzisiaj obowiązuje, nosi wyraźne rysy jednostronności. Rezygnuje bowiem w pewnej mierze z erudycji na rzecz gruntownego poznania, przeżycia i przemyślenia utworu. Chodzi tu wyraźnie o rozwinięcie samodzielności w uczniu, o wydobywanie z niego tych prawd, do których sam dojść może. Nie narzucone z góry syntez, których źródła młodzież nie zna, ale jej własne dochodzenia i wnioski mają tworzyć system jej wiedzy.

Jasne, że twórcy programu nie usuwają wszelkich syntez pomocniczych, ale je sprowadzają do minimum, pilnują nauczyciela, żeby nie narzucał klasie swych poglądów na-

ukowych, nie przyspieszał biegu jej myśli sztucznie.

Wykład — według programu — należało sprowadzić do niezbędnych przy dyskusji informacji, wiążących w całość wyniki analizy dzieł i autorów. Od inteligencji nauczyciela zależy, jaką da podbudowę. Mogą mu do tego celu posłużyć książki, zamieszczone w spisie — opracowania naukowe z zakresu historii literatury.

Rozgraniczanie lektury podstawowej i pomocniczej pozwala jedne utwory analizować dokładniej, inne pobieżniej; jedne czytać prędzej, inne wolniej; jedne w całości, inne w wyjątkach. Program pod tym względem nie krępuje.

Przestrzega on tylko słusznie, że podstawą badań procesów historyczno-literackich w szkole stał się tekst, świadectwo epoki, nie zaś gotowe wnioski uczonego. Z tem się zgadzamy, ale stwierdzić musimy równocześnie, że pole dla samodzielności nauczyciela i ucznia otwarte zostało zbyt szerokie. Konstrukcja wykładu nieograniczona, granice określał tak nauczyciela. Niebezpieczeństwo zejścia na manowce pytań i rozważań



bląhych czy nieistotnych, widoczne odrazu. To strona praktyczna.

A i strona teoretyczna kwestji nasuwa pewne wątpliwości. Prawda, że wiedza zdobyta drogą osobistych doświadczeń, samodzielnych badań, żłobi ślad trwały w umyśle, ale i to prawda, że chcąc iść naprzód, w postępie wiedzy niepodobna zaczynać ciągle i wszystko od nowa. Musimy liczyć się z pracą, która się przed nami dokonała i część jej wyników — nie kwestjonowanych przez naukę — przyjąć za podstawę erudycyjną.

Dyskusja pobudza niewątpliwie twórcze zdolności ucznia, ale za wiele na tę twórczość liczy. Bo jednak szkoła średnia nie może patrzeć na ucznia jak na pracowników naukowych. Trzeba im dać metodę pracy naukowej, ale niepodobna oprzeć się na ich pomysłach. Jeśli nauczyciel wejdzie na tę drogę, przekona się, że podpowiadał bezwiednie, dawał sugestje nieraz sprzeczne z kierunkiem, dominującym w klasie.

Moralna strona sprawy również zasługuje na uwagę. Uczeń może przeceniać wagę swoich opinii i sądów. Może lekceważyć sobie to, co powiedzieli inni może w ten sposób wszystko, czego nie wyrozumował, czy nie wyrezonował, uważać za balast erudycyjny.

Niebezpieczeństwo to przejawiało się w praktyce szkolnej lat ostatnich niejednokrotnie.

Rozumieją je równie dobrze przeciwnicy jak i zwolennicy programu. Walka tych dwóch kierunków rozegrała się na pierwszym ogólnopolskim zjeździe nauczycieli polonistów, z dn. 24, 25 i 26-go kwietnia r. 1924.

Przemawiali w sprawie metody nauczania przedstawiciele Ministerstwa, szkół wyższych i szkół średnich

Zarzuty, noszące mniej lub więcej ostry charakter, wypływały z kilku założeń.

Jednostronność programu, mająca źródło swe w słusznej niechęci dla gotowych formułek wykładu wywołała sprzeciw.

Stawano w obronie erudycji, którą powinien dać zlekceważony wykład, wychodząc z założenia, że szkoła musi dostarczyć uczniowi pewnego zasobu wiedzy w postaci pozytywnej i systematycznej. Odbiło się na polemice i naukowe stanowisko walczących.

Wybitnie estetyczny punkt widzenia wiz. Wóycickiego, który historję literatury pojmuje jako naukę o utworach, autor zaś — zdaniem jego — obchodzi raczej psychologję twórczości, warunki zaś, w których dzieło powstało — socjologję, ukształtował w dużej mierze program polonistyki.

Prof. Łempicki stanął do walki z metodą programu, będąc zwolennikiem koncepcji historii literatury, jako nauki, obejmującej nie tylko utwory, nie tylko twórców, ale całe życie literackie, które twórczość pobudza, rozwija i popularyzuje.

Całego bogactwa zjawisk i przejawów życia uczeń nie potrafiłby sam zgrupować w jakibądź system. Musi to zrobić za niego nauczyciel. Tak pojęta historia literatury wymaga innej metody pracy. To rzeczywiste.

Prof. Nawroczyński, jako przedstawiciel władzy szkolnej, wyjaśnił, że program jest raczej surogatem planu, niż konstrukcją ostateczną. Wydał on walkę formalizmowi w nauczaniu, za postulat główny uznał zetknięcie się ucznia z dziełem literackim.

Trzeba uznać, że w czasie zamętu dążeń i tendencji był to objaw zdrowy i pożądany. Zapalono zbyt jaskrawe światło, ale wyraźnie wska-

zujące drogi pracy. Zaprzeczono głośno i despotycznie przestarzałej rutynie. W takiej atmosferze zrodzić się musiał system krańcowy. Oprócz podstaw naukowych (punkt widzenia estetyczny) i moralnych (rozwiązanie w uczniach odpowiedzialności za sądy własne), program liczyć się zdaje z innym jeszcze czynnikiem. Oto wobec szczęśliwie zmienionych warunków politycznych Polski należało ćwiczyć rosnące pokolenia przede wszystkim w samodzielnej, twórczej pracy. Bo nie miały one powtarzać gotowych formuł o życiu zbiorowym, ani iść utartą koleją doświadczenia, ale musiały budować nowe kształty życia, tworzyć od podstaw własną państwowość.

Dlatego i w szkole także pragnęło Ministerstwo Oświecenia dać pole rozległe indywidualnym talentom, stworzyć możliwie najlepsze warunki dla wszelkich pomysłów i dochodzeń, godnych uwagi.

Streścimy się: program powstał w dobie zamętu 1) — z myśli obywatelskiej o potrzebie wspólnego dla wszystkich szkół polskich programu, któryby pobudzał twórczość i samodzielność młodzieży; 2) — jako reakcja przeciw formalizmowi w nauczaniu; 3) — jako wynik estetycznego punktu widzenia na literaturę.

Program spełnił niemałe zadanie, obudził myśl pedagogiczną, wywołał wiele pomysłów praktycznych.

Powrotna fala przynosi uzupełnienia i szuka harmonijnego związku między wiedzą, opartą na osobistym doświadczeniu i przeżyciu ucznia, a erudycją, która jest spadkiem po ludziach i wiekach minionych.

Takie właśnie stanowisko zajęło nauczycielstwo lwowskie w swym rzeczowym referacie, słusznie też uznał Zjazd ten referat za podstawę przyszłych przekształceń programu, za wyraz własnej o tym programie opinji.

Z. Szmydtowa

## URYWEK Z PAMIĘTNIKA

(Dokończenie)

Z początku przedmioty ich badań naukowych były różne: Piotr miał rozpocząć pracę z zakresu krystalografji, Curie zaś rozpoczęła pracę doktorską nad badaniem szczegółowoem świeżo odkrytych przez Becquerela promieni uranu, pracę tę, zaczęta w 1897 roku, doprowadziła wkrótce do nadzwyczajnych wyników, to jest do wniosku, że w rudzie ura-

nowej, używanej przez nią do badań, znajdują się nowe, nieznanne pierwiastki, wydzielające promienie bez porównania silniejsze, niż uran. Było to już właściwie odkrycie polonu i radu, należało je jeszcze udowodnić przez otrzymanie tych pierwiastków promieniotwórczych w stanie czystym. Wtedy to Piotr Curie przyłączył się do pracy żony. Praca ich była niezwykle cięż-

ka, trzeba było przerobić około 10.000 manipulacji chemicznych na to, ażeby z 1 tonny rudy wyrwać niejako odrobinę czystego radu.

Oto, co o tej pracy mówi Curie'owa. „Z początku było to przedsięwzięcie dwojga ludzi, zamiłowanych w pracy naukowej. Praca, rozpoczęta w starej szkole fizycznej, nieprzygotowanej do podobnych badań, naj-



żona była trudnościami, zdawała się być wyzwaniem, rzuconem możliwości fizycznej. Bez koniecznych przyborów bez środków pieniężnych, trwaliśmy oboje, bośmy tego koniecznie chcieli. W ten sposób idea, aby się zrealizować, porywa, ogarnia jeden, albo kilka gorących umysłów i robi z nich swoich niewolników. Odtąd należą oni do niej, nie widzą przed sobą nic oprócz celu, który pragną osiągnąć, celu, który oddała się w miarę, jak się idzie naprzód."

I wytrwali oboje, osiągnęli cel po 5 latach uciążliwej pracy udało im się wydobyć czysty rad. Było to wielkie zwycięstwo myśli i pracy ludzkiej, wielkie zwycięstwo wiedzy.

Curie'owa przesłała natychmiast komunikat o dokonaniem odkryciu do Akademii Nauk. W roku ubiegłym właśnie święcono uroczystości w Sorbonie Paryskiej 25 rocznicę tego faktu.

A życie płynęło dalej. Oboje Curie'owie nie ustawali w pracy, obecnie wspólnej. Spędziłam w nim lato nad oceanem w 1905. Nigdy niezapomniane przeżyłam chwile z tymi dobrymi i mądrymi ludźmi. Nie przypuszczałam, żegnając mego szwagra we wrześniu, że go już więcej nie zobaczę. W kwietniu 1906 r. wóz ciężarowy przejechał Piotra Curie i, miażdżąc mu głowę, zabił na miejscu. A siostra moja musiała zostać na świecie... dla swoich dzieci, dla pracy, którą prowadzić w dalszym ciągu trzeba było. Pojechaliśmy do niej kolejno wszyscy, byliśmy z nią razem w tych strasznych, ciężkich chwilach. Straciła biedna w zmarłym nie tylko kochającego i ukochanego męża, nie tylko ojca swoich dziewczynek, ale i towarzysza pracy i najlepszego koleżę.

Przez długie miesiące obawialiśmy się o nią. Przetrwiała jednak. Nie przyjęła pomocy w postaci renty dożywotniej, ofiarowywanej jej przez rząd francuski, gdyż chciała, o ile jej siły pozwolą, własną pracą córki swoje wychować. Zgodziła się na objęcie katedry po mężu, gdyż w ten sposób mogła prace jego prowadzić dalej tak, jakby on tego pragnął.

Niezmiernie wzruszającym był pierwszy wykład Curie'owej. Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że pierwszy wykład profesora stanowi prawie

o jego przyszłym powodzeniu, o jego popularności wśród słuchaczy. To też każdy przygotowuje go bardzo starannie, każdy pragnie go jak najbardziej efektywnym uczynić. Niecierpliwie i z ciekawością oczekiwano pierwszego wykładu wdowy po zmarłym tragicznie Piotrze Curie. Sorbona zgromadziła tłumy ludzi, pragnących zobaczyć i usłyszeć młodą uczoną. Punktualnie o naznaczonej godzinie pokazała się w sali szczupła, czarno ubrana postać, blada i mizerna przesunęła się, jak zjawisko do katedry i zaczęła mówić. Ludzie słuchali z zapartym tchem: "Ostatni wykład był poświęcony... i t. d. Dzisiaj muszę tę sprawę szerzej rozwinąć". I popłynął wykład cicho, spokojnie, bez jednego słowa, wypowiedzianego o sobie; był on istotnie dalszym ciągiem poprzedniego wykładu, wygłoszonego przed kilku miesiącami przez Piotra Curie.

Francja urządziła Curie'owej pracownię nową przy ulicy, którą na cześć jej męża ulicą Pierre Curie nazwano. W niej właśnie prowadzą się obecnie dalsze prace nad radem i innymi ciałami promieniotwórczymi, których odkryto już przeszło 30.

Curie'owa kocha całą duszą swój kraj; pierwszy, odkryty przez siebie pierwiastek promieniotwórczy, nazwała polonem na cześć Ojczyzny. Córki jej mówią po polsku i uważają Polskę za drugą ojczyznę. Francja dała Curie'owej pole do pracy naukowej, dała jej możliwość rozwinięcia zdolności twórczych, dała jej człowieka, który jej pomógł w znoszeniu trudów życia i był towarzyszem jej pracy. To też Francja jest drugą, przybraną ojczyzną Curie'owej, która dowiodła podczas wojny, jak pojmuje obowiązki swoje względem tej Ojczyzny.

Własność promieni radu, przenikania przez inne ciała użytkowali lekarze, i często posługiwali się podczas ostatniej krwawej wojny emanacją radową w celach leczniczych.

Marja Curie-Skłodowska, z całym poświęceniem oddała się tej pracy; właściwie kierowała nią, porzuciwszy swoje zajęcia w laboratorium. Poza tem, nie bacząc na przemęczenie i chorobę, przejęta współczuciem dla

cierpień ludzkich i poczuciem obowiązku społecznego, zajęła się przy pomocy stowarzyszeń kobiecych francuskich przygotowaniem ruchomych stacyj Röntgenowskich w samochodach. Przygotowano ich kilkaset i niejednokrotnie Curie'owa prowadziła je sama, jako szofer na najdalej wysunięte punkty opatrunkowe, i tam uczyła sanitarjuszy, jak mają się obchodzić z aparatem Röntgena. Jednocześnie stworzyła w Paryżu szkołę, w której w tym samym celu wykształciła 180 sanitarjusek, które następnie rozesłano na front.

Wielkie usługi oddała ta mądra i dzielna kobieta nauce i ludzkości w ogóle, a Francji w szczególności. To też prezydent Rzpltej Francuskiej w swej mowie podczas uroczystości jubileuszowej powiedział: „że Francja nigdy nie będzie w stanie spłacić zaciągniętego wobec niej długu i nigdy nie przestanie jej być wdzięczną”.

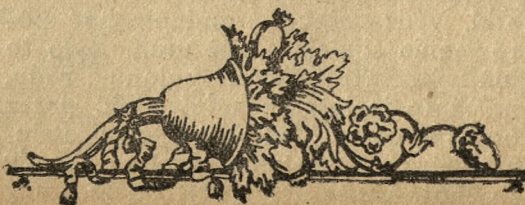
Curie'owa jest dziś znaną niemal przez świat cały, jest stawiana w rzędzie największych uczonych. Obdarzono ją dwukrotnie nagrodą Nobla, ofiarowywano zaszczyty i medale. Wszystkie Uniwersytety i Towarzystwa Naukowe mianowały ją swoim członkiem honorowym. Ani zaszczyty, ani powodzenie nie zdołały jej jednak zmienić: pozostała skromna, cicha, unikająca szumnych owacyj, nie pragnęła zaszczytów, ani odznaczeń, ani sławy, ani bogactwa.

Dom jej w Paryżu wywiera dziwny urok: jest w nim jakaś moc, która każe człowiekowi czuwać nad sobą, mówić cicho, liczyć się z każdym słowem i postępkim.

Panuje w nim atmosfera spokoju, piękna i dobra: dwie córki rozjaśniają młodemi twarzyczkami poważny i trochę surowy nastrój tego domu.

Starsza Irena, to młoda uczona, idzie śladami matki, jest jej asystentką. Skończyła wydział nauk fizycznych i matematycznych, obecnie pracuje nad doktoratem i poświęciła się ciałom promieniotwórczym. Młodsza, Ewa, jest artystką-pianistką. Prawdopodobnie przyjedzie za rok do Warszawy, ażeby w stolicy wyzwolonej Ojczyzny Matki dać swój pierwszy koncert.

H. S.





ZOFIA ROŚCISZEWSKA

## ODJAZD

Już odjechałeś. już cię nie ma...  
 Kiedy znów, kiedy?.. Dłońmi objęta  
 Chciałabym przeszłość pochwycić naszą,  
 Co dzisiaj ptakiem gdzieś odleciała  
 Za siódme góry, za siódme rzeki...  
 Została tylko od słońca biała  
 Płaszczysta droga stroma i niema  
 I tży gryzące, co radość gaszą  
 I palą, palą powieki...  
 Już odjechałeś... już cię nie ma...  
 Kiedy znów, kiedy?.. Stroma i niema...  
 Przede mną droga biała się wiję,  
 A w niej kół ślady, co cię porwały  
 Jak wiatr porywa ziarno niczyje,  
 Jak pióro ptaka, jak pyłek mały.

## NAZAJUTRZ

Już nawet deszcz zmył ślady kół,  
 Którymi odjechałeś w dół,  
 Ogrodem... (ostatnie po tobie ślady...)  
 Przed twoim oknem jaśmin kwitł,  
 Ale wiatr w nocy, nim wstał świt,  
 Zniósł z krzewu kwiaty i owady.  
 Ze wszystkich kątów smutek patrzy,  
 Uśmiech na ustach coraz rzadszy,  
 Tesknota ostre wbija szpony  
 W serce łkające — Ulubiony!

## PRZY KOMINKU

I.

Popieść mnie... jestem dzisiaj taka sama...  
 Taka bezbronna i smutna dziewczynka,  
 Popieść mnie — światło pada od kominka,  
 Jesteśmy sami — serce bije młotem,  
 Dziś wszystko jedno, co pomyślisz potem.  
 Siądź tutaj... bliżej i daj ręce swoje,  
 Za nami ciemne, milczące pokoje —  
 Teraz się cię nie boję —  
 I głowę cicho do ciebie przechylę...  
 Daj usta, w myśli całowane tyle  
 I całuj usta gorące...  
 Wszystkie już kwiaty pomarły na łące,  
 W ogrodzie chłód października,  
 A mnie — żar w żyłach przenika...  
 To ogień... w ogniu mrużą się powieki,  
 Od ognia palą na twarzy wypieki,  
 Myślisz, że ogień niewinny?  
 Bądź dzisiaj szczery, mów kochane słowa,  
 Będę dla ciebie i dobra i nowa,  
 Ale ty także bądź inny!

## CZERWONA CHIMERA

II.

Uwięził w swoich moje ręce,  
 Serca, jak ptak schwytyany, drżało,  
 Odwrócił głowę pomału  
 I musnął włosy dziewczęce...  
 Od ognia stało się goręcej...  
 Jak bańka mydlana trwało,  
 Jak złota raca gorąca,  
 Czerwona chimera szalu  
 Wionęła nagle przez głowę...  
 Żar taki — choć niema słońca —  
 — Mówisz, że oczy mam nowe?  
 Że nie znasz tego wyrazu?  
 Złudzenie... dym z papierosa  
 Przesłania wzrok szarą gazą...  
 Czy widzisz w tym ogniu dziwa?  
 Pędzi Chimera, jak żywa,  
 Opada, to znów się zrywa,  
 Czerwona Chimera szalu...  
 Zbliżył swe usta pomału.



W. MIŁASZEWSKA

F E L J E T O N

## SZANUJMY CUDZY CZAS

„Nie płuć“, „nie palić“ i „czas, to pieniądź“.— Trochę na temat sklepów i dzieci.— O braku kultury.— Nie święci garnki lepią, ale nie święci je tłuką, czyli: Marysia i jej pani.— Trochę o godzinach obiadowych, dużo o zwyczajach na Zachodzie i bardzo dużo o naszych.— „Przyjaciółka“ o pierwszej i „pan lks“ o piątej.

W niektórych naszych biurach, zwłaszcza prywatnych, widnieją na ścianach tabliczki z napisem: „Czas, to pieniądź“, lub „Załatw sprawę i zegnaj“. Pamiętam, że ujrawszy po raz pierwszy w życiu taką sentencję, umieszczoną wrzędzie innych, dawniej mi znanych, jak: „Nie płuć na podłogę“ i „Nie palić“ — stanęłam przed nią, jak wryta i odczytałam kilkakrotnie z głębokim skupieniem, poczem natychmiast pociągnęłam matkę za rękaw, szepcząc gorączkowo:

— Mamo! Kończ prędeży! Chodźmy stąd..

Naturalnie, miałam wówczas niewiele lat i niewiele pojęcia, dlaczego matka moja tak nieskończenie długo stoi przy wąskim okienku, podpisuje jakieś papiery, a nawet,—o zgrozo!— żywo tłumaczy coś łysemu jegomościowi, siedzącemu w głębi tego okienka. Jednakże pamiętam po dziś dzień niepokój, który mną targał na myśl, że może wkrótce, za chwilę, jeden z interesantów zniecierpliwiony się, zwróci mojej matce uwagę na tabliczkę i powie głosem surowym:

— Czy pani nie widzi, co tutaj napisane? Trzeba szanować cudzy czas.

Dzieci, zwłaszcza nerwowe, wrażliwsze dzieci, odznacza się zbyt skrupułow. — A czy tak można, — a czy to nie zwróci niczyjej uwagi, — a czy to nikogo nie rozgniewa... — Z biegiem lat naskórek naszej wrażliwości staje się wytrzymałszy. Zdolni jesteśmy spokojnie przyjąć czyjąś uwagę, a nawet... wynyślanie i nie trapić się, tak, jak biedne dzieciaki, które w naiwności ducha sądzą, że wszyscy wszystko widzą i wszystkim się przejmują... A jednak wielu z nas, wspomniawszy sobie lata dziecięce, wspomni napewno te męki, te istne tortury, gdy naprzykład ktoś ze „starszych“ wszedłszy z nami do sklepu, począł przeglądać, przerzucać, przebierać mnóstwo przedmiotów, targować się, żądać pokazania innych towarów i wreszcie—nic nie kupiwszy—opuszczał sklep z uśmiechem zadowolenia na ustach.

Wyobrażaliśmy sobie wówczas, jaką minę muszą mieć teraz subjekci i jak nas błogosławią w duchu, że teraz przyjdzie im składać, zawijać i chować. I było nam wstyd za tę jakąś ciocię, czy stryjenkę...

Dzieci bywają często przewrażliwione, a nasi subjekci często bez przyczyny nieuprzejmi — zgoda. Jed-

nakże powinniśmy pamiętać, że wszędzie i zawsze należy szanować cudzy czas, chociażby nawet był — zapłacony. Nieuszanowanie go jest zawsze dowodem braku kultury.

Ten objaw niekulturalności: niestety, daje się u nas zauważyć codzień i wszędzie, na wszystkich szczeblach wielkiej drabiny społecznej. Weźmy pierwszy z brzegu przykład: Przeciętny dom warszawski. Pan, pani, czasem jedno, lub dwoje dzieci, kilka par bucików do czyszczenia, kilka pokoiów do zamiatania i na to — jedna służąca. Wystarczy najzupełniej. Zamiatanie nie jest filozofją i wymaga ściśle określonej ilości czasu. Tyle a tyle minut na salonik, tyle a tyle na pokój jadalny, potem obiad, zmywanie naczyń, potem kolacja, zmywanie naczyń i — koniec. Dziewczyna uwinie się z robotą i nawet ma wieczór wolny, ma parę godzin dla siebie. Ale oto pani domu — powiedzmy — lubi pasjami herbatę. Ustawicznie raczy nią swoich gości i siebie. Słyszymy:

— Marysiu! Jeszcze dwie filiżanki!

— Marysiu, jeszcze spodeczek i talerzyki!

Marysiu, to, Marysiu, tamto... Marysia biega, przynosi, odnosi, a góra naczyń do zmywania rośnie na kuchennym stole. Pod wieczór jest to już stos, dochodzący potężnych rozmiarów. Trzeba wszystko umyć, powstawić do kredensu... Marysia zmywa, a że jej śpieszno, więc niejedna filiżanka postrada ucho, z niejednego talerzyka robią się dwa...

Naturalnie, po części winna jest Marysia. Ale tylko po części, gdyż właściwie odpłaca ona swej pani tą samusięnką monetą: Chlebodawczyni nie szanuje jej czasu — ona nie szanuje serwisu chlebodawczyni...

Szanujmy cudzy czas. Szanujmy „nawet“ czas naszych służących...

Teraz z kolei będę mówiła o rzeczy strasznej, o istnej pladze, jaką jest nachodzenie ludzi w ich własnych domach, wedle własnej fantazji i „widzimisień“.

Już to prawda, że jak na całym świecie, dla wspólnej wygody i ułatwienia życia, ludzie oznaczyli sobie godziny, przeznaczone na posiłek, tak u nas, przeciwnie: nie mamy tych godzin, ale nawet nie staramy się określić ich bodaj w przybliżeniu.

W całej Europie, w całej zachodniej Europie zarówno robotnik jak lord, jada swój „lunch“ (u nas to się zwie: drugie śniadanie!) pomiędzy dwunastą a drugą. Są to godziny uświęcone, godziny obowiązujące, godziny, przeznaczone na wypoczynek i spożycie w spokoju darów bożych. Urzędnik wychodzi z biura, ekspedjentka wychodzi ze sklepu, dzieci wracają ze szkoły. Dlatego tam niko-

mu nie przyjdzie do głowy odwiedzić znajomego o godzinie pierwszej minut dwadzieścia i uraczyć go pogawędką do godziny drugiej minut pięć na temat ostatniej premjery w teatrze, wyścigów, czy dobroczynnej kwesty. Przyjaciółce nie przyjdzie na myśl chęć naradzenia się z przyjaciółką w sprawie nowej sukni czy kapelusza, w godzinach między pierwszą a trzecią, chyba, że jest specjalnie zaproszona na „śniadanie“, aby przy tej sposobności omówić ważną kwestję toalety.

Dlatego w Anglii czy we Francji odwiedzanie znajomych ma ściśle określone godziny. Wizyty nie w porę są niedelikatnością. Ale tam każdy wie, kiedy przyjść powinien.

U nas — pozał się Boże — trudno nawet mówić o niedelikatności, skoro obiady w warszawskich domach rozpoczynają się o pierwszej, a kończą... ha! gdzieś tam o... szóstej! Ten ma biuro, tamten daje lekcje, ów nie ma wogóle czasu... zjeść obiadu! Dlatego na porządku dziennym są takie sceny:

Godzina pierwsza. Marysia podaje supę. Jednocześnie w przedpokoju rozlega się dzwonek.

— Kto tam u licha dzwoni o tej porze? — mruczy pan domu.

Okazuje się, że to jakaś znajoma jego żony. Pani wychodzi do saloniku (o ile w domu jest salonik) pośpiesznie otarłszy usta serwetą.

— Jak się masz moja droga?

— Dziękuję. A ty?

— Znakomicie. Co u was słychać?

— Nic nowego...

— U nas też nic. A, prawda, kupiłam sobie nowy kapelusz. Kazałam się w nim właśnie sfotografować. Przesłali mi już próbne odbitki. Może zechcesz zobaczyć? Mam je przy sobie.

Pani domu jest myślą tam, w stołowym pokoju, gdzie zostawiła talerz gorącej zupy i męża w zimnej pasji. Wyobraża sobie jego minę, (Adolf tak nie cierpi tych wizyt podczas obiadu!) i z roztargnieniem ogląda fotografie. Znajoma spostrzega to wreszcie, bo pyta:

— Ale powiedz, moja droga, może przyszłam nie w porę?

— Skądże znowu. Tylko... właśnie siedliśmy do stołu.

— Co? To wy już macie obiad? W takim razie przepraszam cię najmocniej. Nie wiedziałam, że jadacie tak wcześnie. My mamy obiad o trzeciej. Przepraszam jeszcze raz i — zmykam!

— Ależ co znowu... proszę cię, zostań... A może zjesz obiad razem z nami?

Po dłuższych lub krótszych ceregielach znajoma wychodzi, albo zostaje, zależnie od woli czytelnika i stopnia poufałości, łączącej te panie.

(c. d. n.)



MARJA DĄBROWSKA

NOWELA

# ŁUCJA Z POKUCIC

Lecz jaki był Stachu Kucza naprawdę, to poznała dopiero wtedy, kiedy raz ława się przewróciła, kiedy Łucja się przez to nienaumyślnie potknęła i u kolan mu się wsparła, kiedy nagle ucichły między nimi śmiechy, i kiedy on ją, ciężką kobietę, strasznie bijącym sercu, z ziemi podniósł i potężnie do swego serca przycisnął.

Łucji zdawało się teraz, że jest więcej niż sobą, że jest ładniejsza niż jest i więcej zdolna do kochania — i chciała tego dowieść.

Puste miejsce w sercu wielkimi skurczami wzruszenia chłonoło chciwie nową miłość — w której topiły się wszystkie sprawy życia — i rozszerzało się i łaknęło coraz więcej. Nie było to już zaspakajanie głodu, tylko picie rozkoszy na umór.

Stachu Kucza nauczył ją pieszczot, którym oddawali się długie godziny, z twarzami palącymi bardziej od główki, z oddechem świszczącym jak w strachu, z rumianym blaskiem, śmiącym oczy wśród mroku.

Zosia wtedy biegła do dworskiej kuchni, gdzie jej dawali jeść przez litość — świnię wtedy kwiczały z głodu — wiatr wywiewał z pod blachy na stancję obziębły popiół — a we dworze mówiono:

— Łucja z Pokucic oszalała.

Posyłali po nią, żeby dała jeść świniom. — Lecz zastawano już tylko pustą, nieuporządkowaną izbę, ze skopanem łóżkiem.

Łucja i Stachu zanurzali się wtedy w płowe obszary nocy. — Przez ostre puchy śniegu, mimo czarnych zarosli, w których gwizdał wiatr, szli na tańce do Chojnickiego.

Sklep Chojnickiego znajdował się w budynku, który stoi daleko od folwarku, na zakręcie drogi do Tykałowa.

Nie była to już dawna karczma, tylko sklepik, do którego we dnie dzieci latały po pierniki. Lecz dom był po starej karczmie, szary i lekki, gontem kryty, a w ganku mający dwa białe pękate słupki.

Dom był ten sam, i gdy noc nadchodziła tętnił od głosu bębna i tapania hulatyki, i dobrze bawili się tam ostatni ludzie świata, tutejsi ludzie z czworaków.

Ma się rozumieć do starych Bogaczów doszło to, co Łucja wyrabia. Poraz drugi chcieli byli ją ocalić od niecnoty, wyrывая z Pokucic i znów się nie udało. Byli skostniali i starzy. — Córki, z których zamęscia byli dumni — bacznie patrzyły, kiedy im ziemia oczy zasypie. — Od tych spojrzeń — starzy ziębli i mocniej czuli zbliżanie się grobu.

Rozgrzewała ich tylko pełna nienawiści, gniewu i obrazy miłość do

Łucji. Ta najmłodsza Łucysia, ta maluchna Łucysia, w co się to między dworakami obróciła!

Pojechali na targ, na którym nic nie kupiwszy, wałęsali się po kolorowych straganach zgrzybiali i pełni czarnej myśli. Zwlekli do zmierzchu. — Wstąpili na nieszpory, w skropioną rzęsistem światłem czarną nawę fary.

Po żółtym, ulicznym śniegu świsnęli w niebieskie przedmieścia — z pomarańczowymi oknami na granatowych domach, i stanęli dopiero na siódmej wiorście przed sklepem Chojnickiego.

Patrzyli długo w okna — aż rzekii:

— Ady je.

Przez chłopca, który wyszedł z głębi wywołali Łucję. — Długo nie wychodziła, widać nie chciała. Jednakże w końcu wyszła.

Podchodziła zdumiona, pytając kto to, i co się stało, aż nagle poznawszy, odskoczyła.

Wzniosła wysoko głowę, a w świetle okna widać było, jakie uczucia nią miotają. Nie mogła stać prosto, potykała się trochę — była nieco pijana.

Lecz każdy ruch jej głowy, naprękor chwiejności oznaczał głupawą pewność siebie, właściwą ludziom pijanym. W śmiechu, którym się zaśmiała, była nieprzyzwoita poufałość i nieopatrna pycha namiętności.

— Widzisz jom! Zabieraj się do domu! krzyknął ojciec.

— Łucja, co ty się upiła? Matki nie poznajesz?

— Co się pytasz? Nie widzisz że ledwo stoi?

Ojciec zepchnął matkę za siebie.

— Do domu, krzyknął. Do domu!

— Co to, to nie! Co to to nie. —

Łucja mówiła, jękając się i ze śmiechem.

Wtem schyliła się i niepewną garścią usiłowała nabrać śniegu. Rzuciła tym śniegiem na konia.

— Jedźta sam! Jedźta sam! Jo sobie — a wy sobie. — Jedźta sam!

— Że tyż niskąd pociechy na tem świecie. — Gdzie ino aby iść — samo zmortwienie, a zmortwienie, zapłakała matka, obzierając się na mętne zmroki.

Łucja oparła się nieprzytomnie na saniach.

— Mama — krzyknęła, popatrzywszy zbliska.

— Zabirasz się z nami, czy się nie zabirasz, mówił stary ojciec, dławiąc się z płaczu i wściekłości.

— Jedźta sam! — mruknęła groźnie.

Sanie szarpnęły i odjechali porywczo, wśród pisku płóz. Łucja upadła w śnieg.

Podniosła się i rzucała za nimi śniegiem, póki nie skręcili na Starą Wieś.

Wtedy krzyżąc uderzyła w drzwi, żeby jej otworzyli, gdyż nie mogła znaleźć klamki.

Drzwi odskoczyły, a hałas tańca i muzyki upadł na chwilę w śnieg i natychmiast cofnął się do wnętrza.

Lekki szary dom, nabity ciżbą, tacał się dalej półpijany wśród mroźnej nocy, a złote szlaki okien, jak wstęgi płynęły przez blade śnieg.

\* \* \*

Na przedwiośnie tańce się nieco urwały i po Wielkanocy ludzie niedzielami tylko hulali u Chojnickiego.

Lecz gdy zimne wody wiosny zaczęły szarpać zmurszałą trawę i myć namiętnie korzenie drzew, rosnących ponad rowem — upodobania miłosne Stacha Kuczy i Łucji stały się jeszcze gwałtowniejsze i niełatwe do zaspokojenia.

Musieli im czynić zadość tak szybko i ciągle, jak szybko i ciągle przebrażała się ziemia, napadnięta przez porywcze najście wiosny. Nie było miejsca na folwarku, gdzieby nie można było ich zdybać na rozpustnych zabiegach.

Najniespodziewaniej w świecie natrafiało się na nich nawet w chlewie. — Wzbudzili oburzenie, jakie budzą wszystkie uczucia zbyt silne i jawne. Miłość ich porównywano jedynie do innej pożogi, która przeszła niedawno przez Rusocin — do miłości Marynki Guźniakówny i Słupeckiego. Lecz tamta była jednak miłością świętą — miłością młodzieńca i dziewczyny. — A tu? Dzieci obojga na to patrzyły!

Zosia Łucji naprawdę najczęściej uciekała teraz z domu z drugimi dziećmi, z małymi chłopakami.

O zmroku wśród śpiewającej zieleni, siedziały te dzieci nad rowem, gdzie bystra świegotała woda.

Kozikiem stukwały w gładką zieloną korę jędrnego pręta i mówiły:

— Kliń mi się piszczalczko, bo cię wyćpię za płot, podziabie cię czarna kura, jarzębiaty kokot.

Mokre, białe drewno wyslizgiwało się z kory, a z wątego zielonego flecika o gorzkim, gorzkim zapachu, płynął, wydmuchiwany ustami dzieci, ubogi mięki tryl, nagwizdywanie trochę niedołężne — świeże i młode.

Łucja wtedy włóczyła się po krzakach, po sadzie, nad stawem i potrząsając gałęzmi, z których spadały lepkie obłóczki pąków, zwoływała na noc kury śpiewem równie ubogim, pełnym ostrożnej prośby i troskliwej namowy.

— Siedzieć, siedzieć. Siedzieć, siedzieć. — Siedzieć, siedzieć. (c. d. n.)



27)

HELENA CEYSINGERÓWNA

## D R O G A M I D U S Z Y

(p o w i e ś ć)

## ROZDZIAŁ XVII.

## Ś L E D Z T W O

— To one wszystkie żegnają mnie... przeleciała myśl przed rozpląkaną z zachwytu duszą, a gdy zapatrzywszy się przez chwilę, w głąb własną, Wanda znów podniosła oczy, nie było już nic. Mysterium skończone!

Świt się poczynał, a na wschodniej stronie nieba stanęła wielka czerwona zorza.

Uśmiechnęła się znów od głębi dusza... ot miesiąc na młodziku, a nad łasem palą się już zorze... Sen, sen jednej dawnej nocy, zapomniany...

Zrobiło się chłodniej. Szary świat począł się stawać perłowym, tu i ówdzie zabarwiony już opalem.

Wanda postanowiła nagle, że jak tylko się więcej rozwidni, pójdzie pieszo do najbliższej stacji za Częstochową, tam wsiądzie do któregośkolwiek pociągu i jak przepiórka w zbożu, przepadnie.

Podniosła się, by spiesznie wykonać zamiar, wtem spostrzegła, że wąską grobelką, nad rowem, który był linią graniczną obozowiska, idzie ku niej trzech ludzi.

Serce na chwilę skamieniało w piersi, tyle nabiegło doń żywej krwi...

A oni szli...

W bladawych szarościach poranka już ich widać było wyraźnie, Pierwszy z idących był w mundurze...

Teraz już miała pewnośc!

I nagle krew odpłynęła od serca i w porównaniu z chwilą poprzednią, już było uczucie ulgi.

Trzy postacie były już blisko. Ten pierwszy miał mundur żandarma.

Wanda przymknęła oczy.

Przeznaczenie!

Oficer żandarmski, podszedłszy ku niej, skłonił się dworsko.

— Wy, gaspaża Malczewska?

Skinęła głową.

— Proszę panią — mówił z cicha, po polsku — proszę panią nie robić skandalów, nie budzić tych tam — wskazał ręką na uspięne tłumy — i nie zmuszać mnie do użycia przeciw nim siły — tu wskazał na wynurzające się z mgły porannej, postacie kilku konnych...

— Dobrze — odpowiedziała Wanda z dziwnym uśmiechem — pan ma słuszność, nie trzeba ich budzić. Jeszcze za wcześnie...

Żandarm skłonił się po raz drugi.

— Pardon, mademoiselle!

I bardzo zręcznie założył jej na ręce kajdanki.

— Pani pozwoli do kancelarji!... Tak grzecznie brzmiały słowa, któremi klucznik zaprosił Wandę pewnego dnia.

Zerwała się.—

...Pewno na badanie!...

Zimno było, więc na zniszczoną czarną sukienkę zarzuciła długi szal i z bijącym mocno sercem szła za klucznikiem po żelaznych schodach więziennych na dół. Sercom polskim drżenie takie przekazane jest dziedzicznie. Drżą, gdy stanąć im przychodzi twarz w twarz wobec tajemnicy wieczystej walki Białego Boga Słońce z Czarnym Bogiem Przepaści. Wanda przygotowywała się oddawna na to spotkanie. Postanowiła iść odważnie i spokojnie... więc wstyd jej było wzruszenia, którego opanować nie mogła.

Bo i czemuż?!

Zdecydowana była na wszystko. Mimo to, gdy weszła do kancelarji, uczuła, że uginają się pod nią nogi i osobliwy jakiś ból, nigdy dotąd nie doznawany, łamie jej krzyż. Jeszcze chwila — a upadnie tutaj, w ich oczach. Na szczęście podano jej krzesło i zaraz dwie pary oczu badawcze wzroki utkwily w jej twarzy.

Czuła, że jest śmiertelnie blada i bała się, że pomyśla...

Więc nadludzkiem prawdziwie skrzętem woli usiłowała przybrać postawę psychiczną spokojnej pewnościci siebie i prostoty. W pewnej mierze udało jej się osiągnąć to wpierw, nim padły pierwsze pytania.

Starszy z dwu obecnych urzędników przeglądał protokoł pierwszych jej zeznań, złożonych rotmistrzowi żandarmerji w Częstochowie. Po chwili zwrócił się do niej z całym szeregiem pytań formalnych, o dane biograficzne, wykształcenie, położenie majątkowe i t. p.

Odpowiedzi jej zapisywał skrupulatnie i porównywał z tekstem żandarmskiego protokołu. Trwało to bardzo długo.

Drugi pan zachowywał się tymczasem zupełnie obojętnie i biernie. Że jednak siedział wprost Wandy, parę razy spojrzała nań mimowoli: Była to twarz szczególna, w której tkwiły jakieś niepokojące dysharmonje. Niepospolicie inteligentna i taka jakaś dziwnie znudzona!

Czoło wysokie, mądre, grube zmysłowe usta, nos prosty, kształtny... ..w wyrazie twarzy jakiś ro-

dzaj chorobliwego wdzięku. Oczy nie było widać. Zakrywały je spuszczone powieki, ciemne, prawie czarne, jak zwykle u ludzi namiętnych... Usta drgały od czasu do czasu, jakby bolesnym skurczem.

Ogólna barwa tej twarzy była niezdrowa; zakrywał ją częściowo krótki, siwiejący zarost, niegdyś zapewne ciemno blond. Ubiór i zachowanie się pełne dystynkcji!

Od osobistości tej powiało na Wandę dziwnym niepokojem.

Uświadomiła sobie nagle, że twarz tę zna!...

Ale skąd!...

Prawda...

Widywała ją stale w gorączkowych snach, podczas zapalenia płuc przed paru laty... Jakże ją wtedy przerażała i męczyła zagadkowa ta maska!

To przypomnienie!... Koło serca zaczynają się znów szmery, niby bieganie tłumy maleńkich myszek...

I w tej chwili poznaje Wanda, że jest tu sama!! Niema przy niej ludzi bliskich, ni duchów...

Jak Piotr Chrystusa, wyparły się jej, własne jej marzenia i sny. Nie weszły za nią!... Nie owijają jej girlandą smętną drogie muzyczne tony wielkich harf polskich! Nie stoją za nią święte wspomnienia ojczyste!... Nikt! Nic!

Cała ta aura psychiczna, w której żyła dotąd, opuściła ją, rozwiała się kędyś...

A ona jest w tej moskiewskiej kancelarji — sama!... tak jak była sama, gdy ją dziekiem przywieziono do Gostkowa...! tak, jak będzie samą w chwili śmierci!

I nie tylko musi stawić czoło tym dwu ludziom, którzy za chwilę zechcą wedrzeć się do jej duszy!...

Za chwilę padnie tu imię Polkil... skupiła się w sobie i nastawiła do walki, jak niegdyś, za dziecięcych swoich dni.

— No, oskarżona pani jest o zamiar oderwania prowincji od państwa — uśmiechając się lekko z własnych słów zaczął łamanym polskim językiem starszy pan. — Jest to jedno z najcięższych przestępstw i panią czeka za to surowa kara. Jednakże wszystko zależeć będzie od pani zachowania się. Szczerem wyznaniem, nietajeniem żadnych szczegółów może pani uzyskać złagodzenie kary... Więc proszę! Niech nam pani wszystko o sobie otwarcie opowie!



— Już wszystko opowiedziałam rotmistrzowi Petersonowi. Przyznałam się do moich czynów. Nie mam nic do dodania.

— Do jakiej partji pani należy?

— Nie należę do żadnej.

— Od kogo otrzymywała pani pieniądze na zakup książek, na podróżę do Krakowa?...

— Były to moje własne, przenieźmie zarobione pieniądze.

— Pani zarabiała lekcjami? tak?

— Tak. Pisywałam także popularne książeczki dla ludu i młodzieży. Tytuły są tam wymienione w protokołach.

— Ileż pani mogła mieć dochodu z tych wszystkich źródeł?

— Trzy do czterech tysięcy rubli rocznie.

Sędzia zamilkł.

W tej chwili Wanda uczuła na sobie wzrok drugiego urzędnika. Podniosła nań oczy. Przypatrywał jej się z wielkiem zajęciem, a wzrok jego był tak wnikliwy, że zdawał się jednocześnie czytać w myślach i dostrzegać każdą błękitną żyłkę na jej bladym czole, każdy cień znużenia i wyczerpania sił, każdy ślad męki.

Mimowoli spuściła oczy.

— Nie potrzebujemy taić przed sobą nawzajem — rzekł głosem cichym i uprzejmym — że wszystko to, co nam pani powiedziała przed chwilą, nie jest zgodne z rzeczywistością. To system obrony! Ale może pani

zechce odpowiedzieć na pytanie: w jakim celu rozdawała pani te obrazki, książeczki, gazetki krakowskie owym pielgrzymom pobożnym, wędrującym na Jasną Górę?

Mówił po polsku doskonale z lekkim tylko akcentem rosyjskim; wyrażenia były poprawne, ton, choć mówił impertynencje, grzeczny. Tylko usta, gdy mówił, krzywiły mu się jakimś chorowitym grymasem.

Wandę zmieszało pytanie. Zaczynało się wdzieranie do duszy.

I cóż ona im powie?

— Panowie sami określili już ten cel, jako zamiar oderwania prowincji od Państwa. Ja tu nie mam nic do powiedzenia.

Urzędnicy spojrzeli na siebie!

— Ach! — rzekł dystyngnowany pan — pani jest oskarżona ze 102-go paragrafu kodeksu karnego, ale pani przysługuje prawo bronić się. Intencje pani mogły nie być tak złe, mogła pani działać z czyjejs namowy, pod czyjś wpływem.

— Ja nie chcę bronić się.

I po tej odpowiedzi, wyrażonej głosem smutnym i znużonym, odpadł od niej cały niepokój. Zobojętniało wszystko.

Była chwila milczenia. Urzędnicy badali ją wzrokiem, usiłując zrozumieć.

— Z panią trudna sprawa, bo pani widocznie nie ma do nas ani trochę zaufania. Proszę wziąć pod uwagę: nie z żandarmami ma pani

do czynienia. Jesteśmy przedstawicielami prawa. Naszem zadaniem nie jest potępić oskarżonego z góry i bezwzględnie. Mamy obowiązek zbadać stopień winy, wyjaśnić motywy psychologiczne, dotrzeć do okoliczności łagodzących. Pani odmawiając zeznań — bo właściwie pani odmawia — sprawę swoją niepotrzebnie pogarsza.

Kiedy panią aresztowano?

— Przed półtora rokiem.

— Dotąd nie była pani badana?...

— Nie. Tylko raz w Częstochowie.

— No, tak, tak! Pani jest bardzo zdenerwowana, znużona, bardzo mizerna... Czy pani korzysta ze spaceru?

— Tak... pół godziny dziennie.

— Pan sędzia pozwoli — godzinę — prawda?

— No tak. Niech i będzie! — rzekł sędzia głosem niezdecydowanym.

— A książki do czytania otrzymuje pani?

— Nie.

— To może pan sędzia pozwoli na książki?.. Pani by chciała, prawda?

— Owszem, proszę...

— No tak. Można i książki — zgodził się sędzia.

— Pani pali?

— Nie.

(c. d. n.)

## MARJA WOŁKOŃSKA i TERESA CONFALONIERI

(1824 — 1826)

### X.

Wysoki był mur, którym cesarz odgradził od świata fortecę, i głębokie fosy, potrójnym opasujące ją wieńcem. Srogi był nadzór, dniem i nocą wykonywany. Trzy razy na dobę przesuwiał dozorca w rękach każde ogniwo łańcucha, czy nie przepiłowane, badał każdy pręt kraty okna, kraty podwójnej, siatką zasnutej. Wielki strach mroził w sercach strażników wszelki odruch litości, tłumiał każde słowo, któreby mogło przynieść wieść ze świata ludziom, za życia w grobie pogrzebanym. A jednak!... Do walki z przemocą stanęła miłość bezbronna. Długo klęczała u tronu mocarza, długo błagalnie wyciągała ręce, aż widząc, że niema dla niej żadnej nadziei pod słońcem, zesła w podziemia. I stał się cud. Pod uderzającymi weń rozpaczliwie słabymi kobiecemi rękami rozstąpił się twardy mur.

Może zmiękczył go strumień łez, płynący z oczu kobiety, może potok złota, płynący z jej rąk?

Ale same pieniądze nie byłyby dokazały cudu. — Była to łaska Boska — powie z prostotą pani Teresa.

Była koalicja dobroci przeciw złości, litości przeciw okrucieństwu, odwagi przeciw podłości. Cały łańcuch serc ofiarnych i mężnych. Byli bracia, wiernie stojący u boku nieszczęśliwej siostry, byli dawni przyjaciele, zaocznie na śmierć zasądzeni, w Belgji i Szwajcarii nad wyrwaniem skazańców ze szpon Austrii pracujący: generał de Meester, hr. Arconati i jego dobra żona Konstancja, Berchet i Porro i tylu innych, których nazwiska tajemnica kryje, jak ów bezimienny „dobry człowiek” w Bernie il Buono, jak incomparabile Donna, pani z Desio, na granicy szwajcarskiej.

A w samej paszczy smoka podawali im dłoń prości dobrzy ludzie:

klucznik więzienny, unieśmiertelniony przez Pellicca, stary Schiller, zacna szwajcarska dusza, zabłąkana w szorstką powłokę austriackiego kaprala, jego zastępca Kral, Czech, bardziej od starego żołnierza na grosz chciwy (kiedyś sobie za datki pani Teresy folwarczek kupi), ale i on był do „grafa” swojego przywiązany i słuchał go, „jakby dwadzieścia lat pod nim służył”.

Urok, jakim niegdyś Confalonieri jednał prozelitów dla swojej idei i czarował kobiety, oddziaływał dziś na proste serca strażników, żołnierzy, aresztantów.

I był to obrazek jedyny w swoim rodzaju. Hrabia Mitrowsky, magnat, esteta, nie zdobył się na odwagę pocieszenia nieszczęśliwego człowieka słowem bodaj wiadomości od żony, której rozdierające listy kładł, nierozpieczętowawszy, pod sukno, natomiast spełniał, choć z pewnem zawstyżeniem, najniższe fun



kcje zbira przy przeprowadzanych rewizjach. Równocześnie jakiś nieszczesny złodziej, zamiatający kaźnie, Polak, nazwiskiem Kunda, wciskał przemocą w rękę „biednemu, głodnemu panu“ białą bułkę i nosił ochotnie karteczki z celi do celi, choć wówczas nie spodziewał się za to żadnej innej nagrody, prócz uścisku ręki, przeciwnie, wiedział, że za ten czyn litości zwierzchnik może go wziąć, jak psa, na łańcuch i obatożyć.

Mieszkańcy Berna patrzyli z współczuciem na niedolę cudzoziemców, zamkniętych w ponurych murach, osmucających horyzont. Ktokolwiek stykał się z nimi, czy to fryzjer, który ich golił, czy kowal, który ich zakładał, nie mógł oprzeć się pytaniu, za co tych łagodnych i cichych ludzi dręczą, gorzej od najstraszniejszych zbójców? To samo współczucie spotkają później polscy więźniowie. Ten to nastrój sprawił, że tajemnicy pani Teresy i jej wystawników nikt nie zdradził.

Z końcem roku 1827, po czterech prawie latach okropnej niewiedzy, dopukała się żona do mężowskiej kaźni.

Zdawało się, że przez wybity otwór wpłynął ożywczy strumień powietrza i światła do ciemnicy żywcem pogrzebanych. Był czas najwyższy po temu, bo dusze dławione gasły już.

Z nieskończoną ostrożnością nawiązuje się wymiana listów. Kartki pisane atramentem sympatycznym, występującym po rozgrzaniu, idą jako palimpsesty, podklejone pod rachunki handlowe firm Bretschmider w Wiedniu i Carron w Trieście.

Jakie wzruszenie, gdy na ogrzanej karcie występują słowa, ukochaną kreślone ręką: „i cari caratteri“, smukłe, bujne, pochyłe pismo Federiga, jaki ból, jeśli mimo prób, papier biały pozostaje!

Dwa, trzy listy na rok: później, nawet przesyłki. Bardzo stara, najwyborniejsza Malaga w bardzo małych buteleczkach, czekolada, lekarstwa na wzmocnienie serca i, w okładce książki ukryte, stu florenowe banknoty. Najlepszym jednak kordjałem i strawą dla wygłodzonego umysłu są listy Teresy, drobnem, wyraźnym kreślone pismem, rzeczowe, pełne wiadomości i szczegółów. Przez nie człowiek pogrzebany wraca w krąg żyjących, zasiada w kole rodzinnem, jest znowu głową domu, pytany o radę i wolę, choć sam zapewnia, że „wszystko, co robi Teresa, jest najlepsze i najmańdrzejse“. Czuje znów w koło siebie ciepło jej tkliwej opieki. I chwytą go za gardło taki spazm rozrzewnienia, taka czułość, że Teresa trwoży się jego przewrażliwieniem i hamuje wyrzuty, jakich nie szczędzi sobie kając się z dawnych przewin, bezgranicznie stęskniony mąż. Ona wie,

że przyszłości dla nich niema i kraje jej się serce na myśl, ile on znów cierpieć będzie, gdy jej zabraknie. Stara się powoli przyzwyczaić go do tej myśli, podtrzymywać w nim hart i rezugnację.

„Nie chcesz, abym się roztkliwiał — pisze Federigo — i mimo, że mnie to kosztuje, przyznaję ci słusność. To zanadto bolesne dla nas obojga. Bądźmy więc mężni i zrezygnowani i ufajmy Temu, komu jedynie ufać należy“.

Człowiek, którego Paulowicz za ateusza uważał, nauczył się rozmawiać sam na sam ze swoim Bogiem i w dniach ucisku i utrapienia znalazł pociechę w głębokiej i mistycznej wierze w sprawiedliwość wiekiustą.

„Nie myśl, żem się stał bigotem“ — pisze do Teresy.

„Nie myśl, żem się dał ugiąć przeciwnościom... mimo, że wiele zmieniło się w duszy mojej, czego pismem trudno wypowiedzieć“.

„W wierze szukałem pociechy i pociechę znalazłem“ — wyzna potem Confalonieri.

W ręce więźnia, pozbawionego wszelkiego pokarmu duchowego, wpadła zabłąkana przypadkiem między jałowe dewocyjne broszurki, książka przedziwna, droga zarówno filozofowi, jak wierzącemu prostaczkowi O Należało do wianu Chrystusa. Antidotum podane ręką truciciela. Nie domyślił się ci, którzy chcieli złamać i upokorzyć oporne umysły, ile dostojnej pogardy dla ziemskiego ucisku i udręczeń ciała mieściła w sobie owa rozmowa duszy, „nakarmionej chlebem płaczu i napojonej kielichem łez“ ze swoim Bogiem, niosącym krzyż:

„W ogniu doświadczają się żelazo“ mówi Pan.

Przestań uskarżać się.

Jeszcze aż do krwi nie wytrzymał.

Spojrzyj ku mnie, który mocen jestem wyrwać cię ze wszelkiej zływości i krzywdy i który oddam każdemu według uczynków jego.

Przyjdzie dzień w którym ciało udręczone radować się będzie.

A sprawiedliwi staną z wielką stałością przeciw tym, którzy ich uciskali.

Oczekuj Pana, mężnie czyń, i niech się wzmocni serce twoje.

Ja pójdę przed tobą i upokorzę pyszniących się na tej ziemi, otworzę bramy więzień i skrytości tajemnic objawię tobie“.

.....

„Czytaj tę książkę, Tereso moja, czytamy ją razem, na jej kartach spotykać się będą dusze nasze“.

Confalonieri wie, że jego żona, obca ciasnej dewocji i bigoterji, ma szczerą, serdeczną wiarę dziecka i myśl, że wbrew okrutnej rozłące, dusze ich mogą być tak ściśle, tak

doskonale z sobą złączone, upaja go mistyczną radością. Czyż nie spełnił się cud, czy nie odnalazła go w „krajnie ciemności i śmierci“ owa miłość, która „wszelką gorycz w słodycz zmienia“?

„Miłość ciężaru nie czuje, na trud nie zważa, więcej chce, niż może, u niej niema nic niepodobnego, bo sądzi, że wszystko może.“

„A więc jest do wszystkiego zdolna i wiele dokaze i skuteczni tam, gdzie ten, który nie ma miłości, ustąpi i upada“.

Czegożby nie zdołała dokazać Teresa?.

Nie tylko mąż, ale wszyscy jego towarzysze spoglądają ku niej, opiekunice i pocieszycielce z bezgranicznym uwielbieniem i ufnością. Z dobrodziejstw jej korzystają wszyscy, ona jest patronką Spielbergu. Dla niej Pellico układa wiersze, do których dorabia muzykę Maroncelli biegnie od kraty do kraty piosenka i pozdrawia Federiga w dniu 15 go października, niegdyś tak gwarnie święconym w białej willi nad jeziorem, lub w pałacu na Monte de Pietà, dniu św. Teresy.

Nie wiedzą, że ona biedna, ostatkiem sił na nogach trzymająca się, dogasa jak świeca. Serce jej jednym tylko bije pragnieniem: zobaczyć w ostatnim bodaj błysku oczu, wolnym i wyrwanym „z pod różgi nikczemnej macochy“ tego, kogo, bezwiednie, akcentując macierzyńskie już teraz, wszelkiego egoizmu pozbawione uczucie, „biednym swoim dzieckiem“ w listach nazywa.

„Pamiętaj, na kolanach błagam cię o to, że nic nie jest dla mnie za kosztowne, gdy chodzi o posag dla mojej córki — pisze do Pauliny Andryane.“

„Chcę tylko doczekać wesela mego dziecka, widzieć je szczęśliwym, a potem bez żalu opuszczę świat — mówi zaufanemu przyjacielowi, Berchetowi.“

Dobry Grizostomo (taki miał pseudonim poetycki) układa z panią Teresą i gronem najwierniejszych przyjaciół plan, jaki mógł powstać tylko w głowie romantyka i kochajcem sercu kobiety. Wykradzenie więźniów. Ucieczka ze Spielbergu. Jakaż nieprawdopodobna myśl! Z fortecy, gdzie roją się strażę, mysz by się nie wymknęła, — mówią ludzie. Ale oni wierzą w cuda. A bracia dla miłości siostry, gotowi głowy nadstać. Przesiaduje w Bernie Kamil Casati, w przebraniu, pod cudzym nazwiskiem, jest niesprawdzona legenda, że była tam, w wieśniaczych sukniach, sama Teresa. Wewnątrz fortecy czuwa dobry stary Schiller, który pragnie przy końcu życia choć jeden dobry uczynek, na złość władzom, wykonać i „swojego orla z klatki wypuścić“.



## KOMITET DARU NARODOWEGO DLA MARJI SKŁODOW- SKIEJ-CURIE

Od czasu Kopernika nikt nie przysporzył Polsce na polu nauki większej chwały jak Marja Skłodowska-Curie.

Kopernik kazał stanąć słońcu, a wirować ziemi — Skłodowska kazała żyć atomowi...

Atom żyje, przeradza się i wytwarza nowe życie z siebie.

A jedna z postaci atomu, dla wiedzy objawieniem nowem będąca, nieobliczalną w następstwa, jak cała nowa — przez Marję i Piotra Curie stworzona nauka, — stała się szczęściem dla ludzkości!

Rad promieniami swemi leczy dotąd skutecznie jedną z najstraszniejszych chorób — raka.

Najnowsze badania nad własnościami leczniczymi radu zwiastują nowe, pomyślne próby również w stosunku do innych chorób.

Rad powiniennym znajdować się przede wszystkim w ośrodkach świata cywilizowanego, ważny dla nauki, niezbędny dla ulgi cierpieniom!

Przewrót, dokonany w pojęciach naszych o istocie materji i energii we wszechświecie i znaczenie lecznicze radu pobudziło Francję, — w dniu 25-letniej rocznicy odkrycia do uczczenia naszej genialnej Rodaczki wspaniałą uroczystością w Sorbonie i obdarowania Jej darem narodowym w postaci dożywotniej renty.

We Francji, drugiej ojczyźnie Jej, istnieje również Fundacja Narodowa — („Fondation Curie”), na czele której stoi Marja Skłodowska-Curie. Składa się ona z pracowni do badań fizycznych, chemicznych, ogólnie biologicznych i leczniczych, dotyczących całokształtu tego nieśmiertelnego odkrycia i z nowoczesnej lecznicy dla chorych, w której pracują pierwszorzędne siły lekarskie.

Niemal we wszystkich krajach są lub powstają podobne zakłady.

Czas, aby i w Polsce, w Warszawie, mieście rodzinnem Skłodowskiej, stanął gmach Jej imienia:

### POLSKA FUNDACJA NARODOWA INSTYTUT RADOWY

ku uczczeniu wielkiej Uczonej i ku chwale Ojczyzny. Ten gmach Jej — a równocześnie sami sobie zbudować musimy, jako „Dar Narodowy dla Marji Skłodowskiej-Curie” od wdzięcznej Polski.

Komitet Główny „Dar Narodowego dla Marji Skłodowskiej-Curie” tworzy we wszystkich miastach wojewódzkich i powiatowych komitety prowincjonalne. Niech każdy w swem otoczeniu rozwija działalność, zwłaszcza kobiety polskie.

Na dzień ogólnej zbiórki wybrany jest dzień Imienia naszej Wielkiej Uczonej — 10 grudnia na Warszawę, 14-ty grudnia (pierwsza niedziela po Jej Imieninach) — na Prowincję. Potrzebne formalności już załatwiono.

Ofiary składać można nie tylko w pieniądzech, lecz i w materiałach budowlanych i technicznych, potrzebnych dla przyszłego Instytutu.

Uniwersytet Warszawski pierwszy pośpieszył z ofiarą w postaci placu pod Instytut w obrębie swych klinik.

Sumy wynoszące 1000 zł. stanowią „Cegiełki”, nazwiska ofiarodawców będą wyrte w obrębie gmachu.

Osoby składające 5000 zł. otrzymują dyplomy „Fundatorów” Instytutu, nazwiska ich będą umieszczone na honorowej tablicy w przedsionku.

Żywi dla potomnych, zdrowi dla chorych, wszyscy jak Polska długa i szeroka, niechaj pośpieszą z ofiarą, aby „Instytut Radowy im. Marji Skłodowskiej-Curie” świadczył światu, skąd była Ona rodem, czyja to myśl genialna pojęcia naukowe przeinaczyła, nowy odłam nauki zapoczątkowała, ludziom cierpiącym ulgę w niedoli przyniosła.

Biuro Komitetu Wykonawczego Daru Narodowego urzęduje w lokalu swym w Warszawie—Nowy-Świat 21 — codziennie od 4-ej do 6-ej; przyjmuje ono zgłoszenia Komitetów prowincjonalnych i osób, zgłaszających się do współpracy, daje wszelkie wskazówki, załatwia sprawy nabywania wydawnictw Komitetu, jak: ilustrowanej broszury z biografją Marji Skłodowskiej-Curie—2 zł. portretów Jej—3 zł. pocztówek — 30 gr.; przesyła listy składkowe, чеки P. K. O. etc., ma również gotowe pogadanki w tym przedmiocie (cena 30 gr.).—

Ofiary przyjmują:

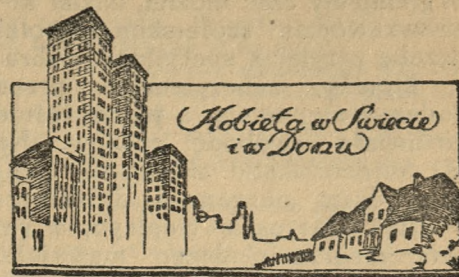
- 1) P. K. O. na № 9.535.
- 2) Bank dla Nandlu i Przemysłu (Traugutta 8) oraz wszystkie jego filje — na rachunek bieżący „Dar Narodowego dla Marji Skłodowskiej-Curie”.
- 3) Redakcja „Kurjera Warszawskiego”, „Bluszczu” i innych pism.
- 4) Biuro „Komitetu Daru Narodowego dla Marji Skłodowskiej-Curie”. Warszawa, Nowy-Świat 21 — (godz. 4—6).

### ZARZĄD KOMITETU:

Prezes: *Wojciech Trampeczyński*  
Vice-Prezes: *Maciej Rataj* i *Bolesław Miklaszewski*. Sekretarz Gen.: *Bolesława Ratajowa*. Zast. Sekr. Gen.: *Teodora Męczkowska*. Członkowie: *Irena Puzynianka* i *Stanisław Sołtan*.

### WYDZIAŁ WYKONAWCZY KOMITETU

Przewodniczący: *Antoni Ponikowski*. Zastępca Przew.: *Witold Chodźko*. Sekretarz: *Józef Zowadzki*. Zastępca Sekr.: *Stefan Sterling-Okuniewski*. Skarbnik: *Stefan Benzef*. Zastępca Skarbn.: *Stanisław Dangel*.



### CO MOGĄ KOBIETY?

Pismo polskie „Straż”, wychodzące w Seranton (St. Zjedn. Ameryki) podaje pod powyższym tytułem ciekawy szczegół z działalności kobiet amerykańskich.

„W pewnym miasteczku na południu, panowały stosunki rozpaczliwe. Kasa miejska była pusta, wodociągi popsute, elektryczność nieopłacona, a urzędnicy i policjant miejski nie otrzymywali pensji. Mężczyźni urządzili więc oddać kobietom gospodarstwo w zbankrutowanym miasteczku i głosowali wszyscy przy wyborach na listę kobiecą.

Kobiety, dostawszy się do rządów miejskich, tak energicznie gospodarowały, że po czterech latach rządów niewieścich kasa była pełna, porządek zapanował w mieście, a długi pospłacano”.

### MATKA PETKOWA POD SĄDEM.

Matka zamordowanego bułgarskiego posła Patkowa została oddaną pod sąd za to, że podczas śledztwa w sprawie zabójstwa jej syna nazwała ministrów Cankowa, Rusewa i Stojenczewa moralnymi sprawcami tej zbrodni.

### KOBIETA A SAMOCHÓD.

Specjalny „numer samochodowy” znanego pisma „L'illustration” zawiera interesujący artykuł o roli kobiety w automobilizmie.

Kobieta bowiem we Francji oswoiła się już dawno z techniką kierowania nowożytnych pojazdów bez koni. Ilość szoferek — kobiet wzrasta z dniem każdym.

W Paryżu już coraz częściej spotyka się dorożki automobilowe (t. zw. „taxi”), kierowane przez kobiety. Poza temi jednak zawodowcami szoferkami widzieć można na każdym kroku u steru samochodu: znane artystki, używające przejażdżki w słynnym lasku bułofskim, eleganckie damy, uprawiające z zamiłowaniem ten nowy sport, a także i osoby mniej zamożne, dla których zajęcie automobilistki jest jednym ze sposobów wprowadzenia oszczędności do budżetu domowego: właścicielka małej posiadłości ziemskiej (fermerka), a nawet zakonnica, jadąca do najbliższego miasteczka po sprawunki dla swego klasztoru.



Ten gremjalny rzecz można, udział kobiet w zawodzie szoferskim wywołał potrzebę przyjęcia specjalnego ubrania, któreby zabezpieczało przed chłodem i niepogodą, a jednocześnie umożliwiało swobodę ruchów. Na strój automobilistki składa się przede wszystkim obszerny i dostatecznie długi płaszcz z ciepłego, a zarazem nieprzemakalnego materiału, czapka skórzana i także rękawiczki, buciki sportowe na niskich obcasach, oraz pończochy z praktycznego gatunku mocnych nici, zamiast tak modnych obecnie, a tak nietrwałych pończoszek z naturalnego czy też sztucznego jedwabiu.

Ciekawem jest zdanie fachowców o uzdolnieniu kobiety do kierowania samochodem. Przyznają jej oni w tej dziedzinie nawet — pod niektórymi względami — wyższość nad mężczyzną. Jest ona na ogół ostrożniejszą i w wielu wypadkach wykazuje większe zdolności szybkiego orientowania się i zachowania zimnej krwi. Te przymioty zwróciły już uwagę niektórych fabryk, które zaangażowały do swych warsztatów personel kobiecy i powierzyły mu funkcje sprawdzania nowych maszyn i zawiadamiiania o wszelkich brakach w ich działaniu.

Ogólną jednak wadą kobiet, prowadzących samochody, jest niedostateczne zainteresowanie się mechanizmem maszyny — co powoduje niemożność samodzielnego dokonania reperacji w razie jakiegoś uszkodzenia podczas podróży. Stoi to w związku z faktem, że świat kobiecy na ogół dytychczas bardzo mało obeznany jest z naukami technicznymi. Przy wzrastającym jednak zainteresowaniu kobiet i w tym kierunku (o czym świadczy, wciąż zwiększająca się ilość studentek politechniki), i ten szkopuł zostanie napewno niebawem usunięty.

## ARABSKA JOANNA DARC.

Niewielu wśród Europejczyków słyszało zapewne — o dzielnej wojownicze, którą możnaby śmiało nazwać arabską Joanną Darc. Była nią żona jednego z szejków arabskich, Hadżiret-El-Bachr, które to imię znaczy „Władczyni piaskowego morza”.

Bohaterska ta kobieta walczyła na czele oddziału jazdy sułtana wahabitów, Ibn-El-Senda, o zdobycie świętych grodów muzułmańskich — Mekki i Medyny. Wytrwałym marszem przebyła pustynię Nedże, uważaną przedtem za niezdobytą i zaszedłszy z tyłu wojska nieprzyjacielskiego sułtana Husseina, spowodowała wśród nich popłoch i masową ucieczkę, ułatwiając w ten sposób własnej armii zdobycie świętych miast. Wdzięczny sułtan mianował ją wodzem naczelnym armji swego narodu. Z. B.

## WYCHOWANIE FIZYCZNE I ŻYCIE SPORTOWE KOBIEC

### GIMNASTYKA MAŁYCH DZIECI.

Mówiłam już, że dobrym sposobem zrobienia lekcji gimnastyki mniej suchą i bardziej zajmującą dla dziecka jest nadanie każdemu ćwiczeniu pewnego znaczenia, zrobienie go podobnym do zabawy.

Jako przykład dałam ćwiczenie, naśladujące różne zajęcia starszych i sposób ruszania się zwierząt.

Podobnie urozmaicić można te same lub podobne ćwiczenia w inny sposób. Tesame ruchy można kazać wykonać dziecku, polecając mu wskazywać w najrozmaitszych postawach a więc stojąc, siedząc, leżąc lub kłęcząc, rozmaite przedmioty otaczające, kierunki lub części jego własnego ciała.

Np. pokazujemy wszyscy ręką jedną lub dwiema sufit, albo chcąc wykonać zwrot głowy w bok nieobracaając tułowia patrzymy wszyscy w okno. Skłon w przód — dziecko wskazuje rękami swoje stopy, skłon w bok — sięga ręką do kolana. Skręt tułowia — nie ruszając stóp pokazujemy ścianę za sobą i t. p.

Prócz tego, że można w tę formę ubrać wiele bardzo ćwiczeń (tułowia, szyi, nóg, rąk) określanie takie rozwija bardzo spostrzegawczość i bystrość dzieci.

Małe dzieci lat 5, 6 a często i więcej bardzo pomalutko orientują się i często nie umieją pokazać żadanego przedmiotu, a tem bardziej kierunku.

Bawiąc się czy ucząc codziennie nawet w jakimś pokoju nie pamiętają często, w którym kącie np. stoi piec, lub gdzie wisi jakiś obrazek.

Tak samo często znajdują się w kłopotach, gdy każe się im wskazać własną stopę lub kolano, szczególnie gdy rozróżniamy lewe i prawe.

Ogromnie lubiane przez dzieci są wszelkie ćwiczenia, przy których wchodzi w grę najprostsze choćby przyrządy, a przy pewnej pomysłowości można łatwo zrobić im tę przyjemność i w domu.

Sznur lub linka może służyć nie tylko do przeskakowania (z miejsca lub z rozbiegu). Można użyć go i na inne sposoby. A więc kręcąc sznur, do czego potrzebne są duże osoby, kazać dzieciom przebiegać pod nim; wyrabia to niesłychanie przytomność umysłu, szybkość decyzji. Można dać podskoki na miejscu tak,

żeby dziecko musiało za każdym obrotem sznur przeskoczyć.

Doskonałym ćwiczeniem jest przechodzenie pod sznurem, który narazie umieszczamy tak wysoko, że dzieci przejść mogą, pochylając tylko głowę, potem spuszczaemy go coraz niżej tak, żeby musiały kłaść się zupełnie na ziemi i przepęłzać pod nim leżąc. Można też kazać im przekraczać sznur bez skoku, tylko unosząc silnie kolana.

Niewyczerpany zapas ćwiczeń daje piłka, najlepiej ze szmatek lub włóczki mało elastyczna, która nie ucieka dziecku. Rzutv o ziemię, ścianę, w górę lub do drugiego dziecka daje się kombinować w najrozmaitsze sposoby. Rzucanie piłką do celu, toczenie po ziemi tak, aby przewrócić lub ominąć właśnie jakiekolwiek poustawiane przedmioty, wyścigi piłek czy to rzutem czy przez podawanie ich z ręki do ręki ponad głową, wszystkie te sposoby dają ogromnie urozmaicone ćwiczenia i bardzo wyrabiają zręczność i uwagę dzieci.

Żeby nauczyć dzieci panować nad niepotrzebnymi odruchami i poruszać się spokojnie, doskonale jest dać im przenosić różne przedmioty, czy to położyć na główce np. niewielkie, lekkie pudełko czy to nieść w rękę naczynie napełnione wodą.

Jako przeszkody użyć można nie tylko sznura, dzieci mogą także przechodzić przez ławki lub stoły górą lub popod nimi. Uwagi i opanowania ruchów wymaga również omijanie, idąc szeregiem lub trudniej, biegnąc pomiędzy rozstawionymi meblami lub porozkładanymi na ziemi przedmiotami.

Innym rodzajem ćwiczeń, przy których występuje tak ważny czynnik walki z przeciwnikiem, są wszelkie ćwiczenia w siłowaniu się.

Może to być przeciąganie się przez oznaczoną linię, przepychanie się za ramiona, może jedno dziecko obracać drugie, leżące twarzą do ziemi, starając się położyć je na grzbiet. Albo ustawiamy dziecko przy ścianie, o którą opiera się rękami i każemy mu zgąć nogę w kolanie. Drugie dziecko ma za zadanie wyprostować to kolano; lub gdy dziecko, opierające się stoi na dwóch nogach, drugiemu każemy odciągnąć jedną z nóg w bok.

Ogromnie doniosłe znaczenie mają w gimnastyce przyrządy, służące do zwisów jak drabina, orczyki lub bumy; zupełnie nietrudno umieścić taki przyrząd w pokoju dziecinnym. O tem jednak pomówimy innym razem.



## Z KRAKOWA

Zapewne nie wszystkim wiadomo, że prace odbudowy Wawelskiego Zamku zostały przerwane dla braku funduszy na dalsze ich prowadzenie. Cegielki, fundowane przez instytucje, stowarzyszenia, rodziny i pojedyncze osoby prywatne, a które to cegielki były główną podstawą funduszy odbudowy, z początku napływające obficie, w roku bieżącym ustały prawie zupełnie, i oto Wawel, mający swe roboty zewnętrzne na ukończeniu, Wawel, któremu pozostają do odrestaurowania wnętrza sal, zmuszony był stanąć w pół drogi i zawiesić pracę na czas nieograniczony. Smutna ta konieczność uczyniła, że wszelki ruch w obrębie zamku zagasł.

Natomiast rozpoczęto pracę w obrębie Katedry. Celem jej jest odnowienie grobów królewskich, niezmiernie naglące, gdyż miedziane i cynowe sarkofagi wskutek wilgoci w podziemiu ulegają bardzo szybkiemu, a całkowitemu zniszczeniu przez t. zw. „trąd cynowy.“

Zawiązany przed rokiem komitet, złożony z przedstawicieli kapituły katedralnej, rządu, nauki i stowarzyszeń techniczno-artystycznych pod przewodnictwem biskupa krakowskiego Sapiędy, zwrócił się do społeczeństwa o pomoc w ratowaniu Katedry, której zresztą nietylko sarkofagi królewskie są zagrożone, ale która wymaga także naprawy dachów, rynien, kopuł; która potrzebuje odnowienia niektórych kaplic (w kaplicy Wazów, np. kruszy się kamień, a brzozy nagrobnych tablic królewskich poodrywały się), oraz naprawy zabytków muzealnych: naczyń, sprzętów i szat liturgicznych, przechowywanych w skarbcu.

Ze składek, do których głównie przyczyniły się dyrekcje banków zebrano na początek ubiegłego roku 93 miliony mkp. Następnie Ministerstwo Oświaty (Wydział kultury i sztuki) nadesłało na ten cel 391 milionów 400 tys. mkp., a składki prywatne po trochu zaczęły przybywać.

To umożliwiło odnowienie sarkofagu królowej Cecylii Renaty (żony Władysława IV, córki cesarza Ferdynanda II), której dokonał bronzownik i czeladnik krakowski p. Waldyn, oraz sarkofagu Jana Wazy, którego stan okazał się bardzo zły, gdyż żelazne żebra wewnętrzne, na których przymocowane były ściany sarkofagu oraz dolna część miedzianych jego ścian zgrzyzła całkowicie rdzą. Ale śpieszne naprawy domagają się także wszystkie inne metalowe sarkofagi: miedziane Władysława IV i Marii Ludwiki Gonzagi, cynowe Zygmunta Augusta, Anny Jagiellonki, Stefana Batorego, Zygmunta III i inne.

Na cel naprawy ornatów i kap katedralnych złożył hr. Stanisław Tyszkiewicz 50 dolarów. Naprawy podjęły się Muzeum przemysłowe i firma Dr. Niecia.

Wiadomo, że skarbiec katedralny Wawelski posiada w zakresie haftów i tkanin, gobelinów i makat wspaniałe zabytki z XV, XVI i późniejszych wieków. Są to przeważnie dary królewskie i magnackie. Przypomnę tu sławny ornat Kmity oraz własnoręczne roboty Anny Jagiellonki; sławną szerynkę batystową na ołtarz srebrny, wyhaftowaną groteskową ornamentacją renesansową o charakterze wschodnim oraz wielki haft jedwabny (antepodium) ze scenami z życia N. Panny i Chrystusa. Z gobelinów, pochodzących z darów biskupów z XVII i XVIII w., przypomnę gobeliny ze scenami z Iliady według kartonów szkoły Rubensa i gobeliny z historią patriarchy Jakóba, uwieńczone w poetyckim przedstawieniu Wyspiańskiego, w jego dramacie Akropolis.

Gdy mowa o gobelinach, nie mogę nie zahaczyć o wspaniałe arraszy Zygmunta Augusta, odzyskane tak niedawno z sowieckobolszewickiej paszczy, z której wydzieranie naszego mienia narodowego odbywa się krwawym trudem Delegacji polskich w komisjach mieszanych reewakuacyjnej i specjalnej w Moskwie.

Arraszy te, wykonane w XVI w. we Flandrii, kupione przez króla Zygmunta Au-

gusta do zamku Wawelskiego, będą znów w przyszłości zdobiły jego sale, gdy te zostaną doprowadzone do stanu, który umożliwi ich przyjęcie. Obecnie mieszczą się w oddzielnym budynku, specjalnie na ten cel urządzonym i przez centralne ogrzewanie zabezpieczonym od wilgoci, na którego ścianach rozwieszono są, dostępne dla publiczności jako wystawa arrasów.

Nowszą ich partja, nie tak dawno przywieziona tu z Warszawy, składająca się przeważnie z gobelinów mniejszych rozmiarami, oraz z kawałków meblowych, w których są braki, nie przedstawia tak wspaniałych okazów, jakimi są sceny biblijne poprzedniej partji, jednakże wartość ich artystyczna jest także wysoka, bogactwo ornamentów i doskonałość wykonania wielka.

Odzyskanie reszty tej cennej kolekcji Zygmuntońskiej, której część zaledwo dała się wydrzeć przywłaszczycielom, jest połączone z trudnościami, o jakich warto nabrać pojęcia przez przeczytanie Dokumentów Delegacji polskich z kilku już lat ich ciężkiej pracy w Moskwie.

Marja Hornowska.

## O NADUŻYWANIU NARKOTYKÓW

Na ostatnim zjeździe higienistów polskich — w czerwcu r. b. — prof. Gantkowski w swym świetnym referacie poruszył sprawę wzmnożonej po wojnie narkotykcji w państwach europejskich. Ankieta, zebrana w tej sprawie przez 25 lekarzy zachodniej Europy, stwierdza rozmielenie się narkotykcji w społeczeństwach na całej kuli ziemskiej.

Narody osłabły fizycznie i moralnie; nietylko narkotyzują się ludzie, mający usposobienie psychopatyczne, aleć zupełnie zdrowi.

Rozbudzeniu się podobnych przywyczajeń dopomagają nawet i lekarze, którzy szeroką ręką zapisują środki, usposabiające do narkotyzowania się, jak brom, walerjanę, bromurale jako środki nasenne. A przecież są środki i prostsze i zdrowsze, jak spacer półgodzinny przed użyciem się na spoczynek, wyczerpanie nóg w gorącej wodzie, jako środki odciążające krew od głowy, gdyż wiadomem jest, że przekrwienie mózgu przeszkadza prędkiemu zaśnięciu.

W morfinizmie, według Wundta, główną rolę odgrywa działanie paraliżujące na system wegetatywny.

Według ostatniej pracy Majera morfiniści nawzajem się odczuwają; w dużem towarzystwie morfinista pozna swego towarzysza.

Zwalczanie morfinizmu jest połączone z wielkimi trudnościami, gdyż w zakładach za pieniądze usłudni pielęgniarki wszystkiego dostarcza; mniej przepukne są kobiety.

Dla państwa podobny nałóg przynosi prawdziwą szkodę, bo na zdemoralizowanych i chorych osobnikach oprzeć się trudno.

Jeszcze większem złem jest kokainizm, który na zachodzie bardzo się rozszerza. Niemcy, chcąc zdeprawować Francję, zarzucają ją kokainą.

Kokaina działa bardziej oszalamiająco niż morfina i przestrzeń pomiędzy dawką trującą a oszalamiającą jest nieznaczna.

Pokryjomu kokainę sprzedają w podejrzanych kawiarniach, gdzie się podaje od stolika do stolika. Najczęściej zażywana bywa przez nos, jak tabaka.

W Warszawie istnieją kawiarnie, gdzie można z łatwością dostać morfiny i kokainy; są również kluby, niestety i młodzieży, gdzie oddają się tym strasznyemu nałogom.

Najmniejszym złem jest palenie; chociaż nikotyna działa szkodliwie, gdyż osłabia pamięć, i sprowadza złe działania tętnic, ale nie zatrąfa systemu nerwowego i nie wywołuje takiego zniszczenia jak inne narkotyki, które zwalczają należy przez najdalej idą-

cą propagandę. Wszystkie klasy społeczne są zainteresowane w tej walce.

Na ostatnim posiedzeniu Ligi Narodów w Genewie była poruszona sprawa handlu narkotykami, lecz nic konkretnego nie uchwalono, gdyż za dużo było państw, zainteresowanych w produkcji takowych dla celów politycznych.

Tymczasem wszystkie państwa zachodniej Europy winny wystąpić do walki z temi nałogami, we własnym interesie, gdyż narkotyki sprowadzają zwyrodnienie i fizyczne i moralne.

Dr. G. Majewska

## KSIEŻYC I ROŚLINY

Niezmiernie wdzięczną jestem Pani Elżbiecie, że w jednym z ostatnich swych artykułków z działu gospodarczego poruszyła temat u nas dotąd zupełnie zapoznany, mianowicie kwestję wpływu księżyca na wzrost i rozwój roślin. Sprawę tę zaliczano dotychczas do dziedziny przesądów i zabobonów, i żaden „szanujący się“ autor nie poważyłby się o czemś podobnem wspomnieć w swem dziele ogrodniczem. Cóż jednak na to poradzić, że doświadczenie wykazuje często całkowitą słuszność staroświeckich przepisów, opartych prawdopodobnie na obserwacji przyrody. I niema w tem, zasadniczo biorąc, nic niemożliwego. Niepodobna przecież negować faktu, że słońce i księżyc wywierają bardzo doniosły wpływ na naszą ziemię — dla czegożby więc zmiana faz księżyca nie miała się odbijać w ten lub w inny sposób na rozwoju roślinności globu ziemskiego?

Nie przesądajmy zresztą kwestji, kto ma rację, — czy dawni „astrologowie“ i dzisiejsi „astrofizycy“, przypisujący całom niebieskim całej szereg wpływów na naszą planetę (mówię tu wyłącznie o wpływie czysto fizycznym, nie zaś o rozpowszechnionem dawniej losami naszymi) — czy też ci, co z góry i bez żadnych nawet prób doświadczeń w tym kierunku odrzucają całą tę sprawę do lamusa starych zabobonów. Najlepiej spór ten rozstrzygnie bezstronna obserwacja zjawisk z życia roślinnego w związku z fazami księżyca, a jeśli faktów, potwierdzających stare maksymy Haura, Syrenjusza i innych dawnych naszych przyrodników, znajdzie się więcej, będziemy mogli ustalić, że te wzgardzone teorie opierały się jednak na rzeczywistości.

Ja sama osobiście prowadziłam czas jakiś obserwacje nad roślinami ogrodowymi i warzywami, zbyt krótko jednak, aby móc zebrać znaczniejszy materiał. Udało mi się jednakże zainteresować tą sprawą jedną z moich znajomych ogrodniczek, która już od dłuższego czasu prowadzi te badania i utrzymuje, że potwierdzają one w zupełności starą teorię, opierającą się na następujących kardynalnych zasadach:

1) Wszystkie rośliny i warzywa, owocujące nad ziemią (a więc zboża, a z pośród warzyw: groch, ogórki, kapusta i t. d.) rosną najsilniej i najbulwniej w okresie przybywania księżyca, czyli od nowiu do pełni. W okresie ubywania księżyca wiotczeją, i siła ich wegetatywna się zmniejsza, co w zupełności uzasadnia przepisy o sianiu tych roślin na nowiu, jak również i konserwowaniu ich w tym okresie, wtedy tylko bowiem bywają jędrne, soczyste i pełne;

2) W przeciwieństwie do poprzednich, rośliny owocujące pod ziemią (a więc: cebula, buraki i wogóle wszystkie warzywa okopowe) mają najsilniejszy wzrost w czasie ubywania księżyca, czyli od pełni do nowiu.

Cieszyłabym się bardzo, gdyby tych kilka uwag pobudziło nasze rolniczkę i ogrodniczkę do obserwacji w tym kierunku, a co za tem idzie, może i do wykrycia nowych czynników w dziedzinie wiedzy przyrodniczej.

Jadwiga Kor-







# PŁASZCZE ZIMOWE

Najwyższy czas już pisać o nich, gdy kalendarzowa jesień dobiega końca. W tej porze chłódów, wiatrów i deszczu, pomimo naszych ciepłych „dessous”, w których jedwab i wełna zastąpiły lnianą nić, tak drogą naszym prababkom — pomimo przytulnych szalów batikowanych, — ciepłe okrycie zimowe jest nam niezbędne. I już myśl nasza biegnie ku tym wiernym przyjaciółom, nieodstępnym towarzyskom naszym na okres kilku miesięcy, którzy może przyćmiwiają trochę nasze stroje, lecz nie brak im przecież swoistego szyku i elegancji — byleby skroili je ręka dobrego krawca, a doborem fasonu i przybrań kierował subtelny smak kobiety.

W Warszawie, gdzie klimat chłodniejszy jest niż we Francji, płaszcz futrzany jest prawie niezbędny. W Paryżu spotykamy go również często, nie dlatego, aby tego wymagał chłód i niepogoda, lecz poprostu dlatego, że jest on najdroższy, więc przez to najwykwintniejszy.

Z góry zaznaczam, że pomimo usilnych starań o przywrócenie futra karakułowego na dawne miejsce honorowe, zajmowane przezeń do roku mniej więcej 1900, futro to, czarne i kędzierzawe, które przy dłuższym noszeniu traci swój połysk i staje się wełnistem — nie znajduje teraz zbyt wielkiego popytu wśród wytwornych Paryżanek. Modne jest w tym roku tylko to, co się mieni połyskiem i barwami, układa się w miękkie fałdy, jak soból, lub nurek.

Przy oglądaniu wystaw futrzanych zauważyć można, że foki i wydry używane są raczej do przybrania, niż na całe płaszcze. I tutaj powiem nawiasem, że prawdziwe foki są obecnie unikatami: nie można ich poprostu nigdzie znaleźć w Paryżu. Oczywiście, wskutek tego cena ich dochodzi do sum bajecznych. To nam tłumaczy pozorne zapomnienie mody dawniejszej o tem prześlicznym futrze.

W ciągu tej zimy noszone będą bardzo futra demokratyczne, a więc: kręty, króliki (te ostatnie występują w coraz to innych postaciach i pod coraz to fantastyczniejszymi nazwami), zające, a nawet — koty! Wszystko to jest bardzo tanie, a pomimo to wcale niebrzydkie. Natomiast futro z małą białych czy czarnych wyszło już zupełnie z użycia.

Bez względu na to, z czego będą zrobione, płaszcze nasze będą w tym roku dość długie, nieco dłuższe niż zeszłego sezonu, z dużym kołnierzem, nieraz marszczonym, lub zakończonym wiszącymi szalami. Płaszcze mieć będą dość szerokie rękawy.

Podszewka w rękawach będzie podwójna i tworząc bufkę, ściągającą przy dłoni na elastyczną gumkę, zabezpieczy przed chłodem ręce, które moda nakazuje pozostawiać odkryte.

Nigdy jeszcze nie noszono równie pięknych i bogatych podszewek. Pamiętać należy, że to, co się odślania oczom naszym w chwili, gdy kobieta pozwala płaszczowi futrzanemu zeslizgnąć się ze swych ramion, świadczy wymowniej, niż wszystkie inne szczegóły jej toalety o szyku i dobrym guście swej właścicielki. Podziwiałam w tym sezonie niezwykle piękne materiały podszewkowe: bogatą lamę koloru rubinowego, przetykaną złotem, mianującą się jedwab „faile” o odcieniu „mauve” lub jaskrawo-różowym, morę miękką, a zawsze zahaftowaną ręcznie w kapryśne arabeski... tkaniny, podbijające nasze płaszcze, są nieraz piękniejsze od tych, z których zrobione są suknie.

Niestety jednak, znaczna ilość kobiet, których skromny budżet musi się dostosować do ogólnej drożyzny, nie jest w stanie kupić sobie tak upragnionego futra. Niechże się jednak pocieszą! Przedewszystkiem zima tegoroczna, według przewidywań meteorologów, ma być znacznie łagodniejszą od poprzedniej. Po drugie zaś — cały szereg nowych „kreacji”, materiałów eleganckich, miękkich, ciepłych i niedrogich zarazem, pozwala im ubrać się szykownie, a jednocześnie oszczędnie. Z pomiędzy tkanin jedwabnych, najbardziej używanych na płaszcze, wymienię przede wszystkim: *cloqué molletonné*,

*ottoman*, grube atłasy, — a pozatem, oczywiście, wszelkiego rodzaju sukna, no i król obecnego sezonu — czarny aksamit.

Jakimże fasonem je uszyjemy, to okrycie zimowe, skoro nas nie stać na sprawienie sobie futra? Moda tegoroczna utrzymuje jeszcze wciąż linię prostą, a więc i płaszcze nasze zachowują ją również. Długość ich jest umiarkowana, a ponieważ nie możemy nic zmienić w linii, jedyną oryginalnością naszych okryć będą przybrania z futer i haftów, których moda wciąż jeszcze trwa.

Cóżbyście powiedziały, moje Czytelniczki o modelu, który widziałam wczoraj, płaszcz z czarnego aksamitu, przybrany od góry do dołu wążkami pasami, wyszycia których pomysłowy układ pozwala mu rozszerzyć się u dołu w kształcie falbany. Przybrany pasem futrzany z białego lisa przy szyi i na rękawach, i zapięty na boku, płaszcz ten stanowić może wymarzony wzór najwyższej, a zarazem wykwintnej elegancji.

Albo ten drugi „fulgurante” koloru „tête de nègre”, podbity watoliną, obramowany pasami z plisowanego atłasu w tymże kolorze, z kołnierzem w kształcie kielicha, podkreślonym jeszcze przez pasek futra bobrowego, wychodzący z wewnątrz. Można go zrobić szerszym, niż poprzedni, fason jego nadaje się w zupełności dla osób mniej szczupłych.

Oto wreszcie okrycie z ottomanu jedwabnego w duże prążki. Kolor szmaragdowo-zielony, nawiasem mówiąc, jeden z najmodniejszych w tym sezonie. Płaszcz ten jest przecięty na bokach i obreżony szeroko futrem fokowym o złotawym połysku; rękawy ma rozcięte do łokcia, lub też imitujące to rozcięcie. Kołnierz szalowy, przykryty całkowicie futrem. Zapięcie na lewym boku, poniżej pasa.

Tyle o płaszczach zimowych. Na przyszły raz pomówię z Wami, Szanowne Czytelniczki, o okryciach wieczorowych.

*Hrabina Annie.*

Paryż w listopadzie.



## Wskazówki praktyczne

### PRYZSMY ŚWIĄTECZNE.

Przed wojną i rewolucją, w dawnych dworach na Kresach, gdzie nawiasem mówiąc, wybornie jedzono, żyło się pod znakiem samowystarczalności. Własny drób, prosięta, barany i cielęta, — własne nawet woły przy robieniu większych zapasów solonego mięsa, lub większych zjazdach, czy innych uroczystościach, już nie mówiąc o dziesiątkach karmników, przerabianych na nierównane w smaku wędliny, — zwierzęta z własnych kniej, ryby z własnych rzek i jezior, grzyby i wszelkiego rodzaju jagody leśne, dostarczane w bajecznych ilościach przez służbę leśną, ogrodowiny, owoce i wszelkie nowalijki z własnych ogrodów, inspektów i cieplarni.

To też nic się prawie nie kupowało z miasta, chyba korzenie, kawę, herbatę, cukier, — no i jakąś kaszę „zamorską” w rodzaju ryżu lub tapioki — gdyż wszelkie rodzaje mąki i kasz własny młyn wyrabiał.

A więc, gdy nadchodziły jakie uroczyste święta, nikomu do głowy nawet nie przychodziło, aby posłać po pierniki i cukierki do miasta. Sprowadzano z Warszawy lub Petersburga, zależnie od tego, skąd komu było bliżej, transport fig i daktyli, orzechów włoskich, tureckich i amerykańskich, rodzynków i migdałów, bo tego w domu zrobić nie można było, — pozatem robiono całe szeregi pierni-

ków i owoców osmażanych, śliwek suszonych zrozmaitemi nadzieniami, orzechów w miodzie, makaroników, tłuczonek, marcepanów królewieckich i lubeckich, strucli z przeróżnymi nadzieniami i przekładaniami, a wszystko to w takich ilościach, że najlepsze apetyty tygodniami temu podobać nie mogły.

Podam więc przepisy na rozmaite smaczne rzeczy, w których przygotowaniu za specjalną zgodą babci, dyrygującej całą armją pomocników brać mi pozwalano udział, podzielię się niemi w tym czasie przedświątecznym z memi Czytelniczkami. Warszawianki napewno z nich korzystać nie zechcą, gdyż mają do rozporządzenia setki cukierki, gdzie te same smakołyki, może nie smaczniej, lecz napewno ładniej przyrządzone znajdują, natomiast panie ze wsi i z małych miasteczek może je zechcą wypróbować.

**Marcepany, prawdziwe królewieckie.** Na funt słodkich migdałów, sparzonych, obranych z łupinek i otartych serwatą, aby były suche, dodaje się piętnaście migdałów gorzkich i bierz funt i pół cukru od głowy. Cukier się uciera na ostrej tarce, lub tłucze i przesiewa przez rzadki muślin, (dzisiaj, gdy można mieć puder cukrowy, można użyć ten ostatni, siejąc go jednak przez sitko lub muślin). Migdały się też uciera na tarce, lub miele na specjalnej maszynie, (tłuc nie należy). Na stolnicy mieszają się dokładnie migdały i cukier i dodaje po kilka kropel wody różanej, zaczem wyrabiać migdałowe ciasto. Wyrabiać należy tak długo, aż od rąk odstanie.

Z tej masy robi się przeróżnego kształtu owociki i kartofelki, serduszka i inne figurki. O ile się robi większe marcepaniki, to cieniuchno rozwałkowane ciasto wykrawa się foremką i otacza brzeżkiem z marcepana, maczając brzeżek różaną wodą, aby się przykleił, i karbując go ładnie łyżeczką, maczaną w wodzie różanej.

Po upieczeniu środek zalewa się pomadką cukrową lub ubiera suchemi konfiturami. Owociki osusza się gdzieś w ciepłym miejscu, wkłada w nie ogonki o ile tu są wiśnie lub śliwki, goździki i kawałtoko cynamonu w jabłuszka i gruszczyki i kolorując pędzelkiem nieszkodliwymi barwnikami. Kartofelki należy utarzać w kakao. Większe marcepaniki układa się na desce, przykrywa dużą brytwaną, na nią nasypuje węgli drzewnych rozpalonych, dmucha na nie mocno mieszkim lub dziurawym butem, aż brzegi marcepanów ładnie się zrumienią, poczem się je studzi, nalewa cytrynowym lukrem pomadkowym, używanym do mazurków i ubiera skórką pomarańczową smażoną lub innymi suchymi konfiturami.

**Orzechy włoskie w karmelu.** Oczyszczyć dwa funty orzechów z łupin, starając się połówek nie połamać. Pół funta cukru utłuc z połamanymi orzechami, kilku słodkimi i kilku gorzkimi migdałami, oczyszczonymi z łupinek, na wolną masę. Trochę tej masy przełożyć każde dwie połówki orzechów. Półtora funta cukru zmoczyć wodą, zagotować na mocnym ogniu na karmel, próbować widelcem kiedy zamiast kropel ciągną się długie nitki, odstawić na brzeg blachy, aby się nie gotowało, a było gorące. Szpilką od kapelusza brać orzechy i maczać prędko każdy w karmelu, kłaść natychmiast na blat marmurowy lub duży półmisek, posmarowany oliwą, dla zastudzenia. Z tej proporcji wychodzi dwa i pół funta cukierków.

**Marmoladki.** Dwa funty jabłek antonówek lub innych kwaskowych obrać i postawić, gotować z syropem, zrobionym ze szklanki wody i dwóch funtów cukru, mieszając starannie, aby się do dna nie przypaliło. Włożyć dla zapachu kawałtoko wanilii lub kilka kropel olejku cytrynowego, co kto woli. Gdy masa stanie się przezroczysta, wlać cztery łyty kleju roślinnego „agar”, rozpuszczonego (trzeba gotować) w szklance wody, wymieszać starannie i wylać warstwą grubości palca na półmisek zimny. Gdy zastygnie, da się ślicznie pokrajać w dowolne kawałki. Jest to chyba najzdrowszy przysmak dla dzieci.

*Pani Elżbieta.*



## OPIS SUKIEN I ROBÓT DO Nr. 49

682. Suknia z popielatego sukienka, przybrana białym futrem i haftem popielatym na białym tle.

683. Suknia z brązowej wełny, lub welwetu, przybrana taśmą i wykończona futrem.

684. Suknia z crêpe marocain koloru szaro-zielonego, przybrana imitacją skunksów.

685. Bluzka z surowego jedwabiu, z odciętym karczkiem.

686. Sukienka dla dziewczynki od lat 7 do 11 z wełny w kratę, przybrana czarną aksamitką.

687. Sukienka dla dziewczynki od lat 6 do 10 z woalu granatowego, haftowana pon-sowym.

688. Sukienka dla dziewczynki od lat 8 do 12 z szewiotu granatowego. Kołnierzyk i mankiety białe.

689. Sukienka dla dziewczynki od lat 9 do 14 z piaskowego sukienka, wyszywana w pasy sutazem.

690. Bluzka z białego kreponu, przybrana czarną plisą, na którą nałożony biały materiał należy przyhaftować w deseń.

691. Skromna bluzka z brązowego sukienka, przybrana odciętą plisą koloru piaskowego.

692. Skromna bluzka z granatowej wełny, przybrana plisą z popielatego sukna. Wyszycie i guziczki granatowe.

693. Paltocik dla chłopczyka od lat 5 do 7 z grubej angielskiej wełny, przybrany futrem.

694. Płaszczek na moltonie dla dziewczynki od lat 9 do 14. Kołnierzyk i mankiety futrzane.

695. Paltocik aksamitny, przybrany futrem dla dziewczynki od lat 8 do 11.

696. Paltocik dla chłopczyka od lat 7 do 12 z angielskiej wełny. Kołnierzyk i mankiety futrzane.

697. Paltocik dla dziewczynki od lat 5 do 8 z sukna granatowego. Boki układane w fałdy.

698. Paltocik dla chłopczyka od lat 5 do 10 z granatowego sukna, przybrany barankiem.

699. Paltocik z odciętym karczkiem dla dziewczynki od lat 6 do 10.

700. Wzór na laufer do salonu. Motywy, wykonane ścięciem richelieu na lnianym batyscie. Tło i brzegi ścięciem vieux Milan. Wielkość 94x43.

**UWAGA:** Powiększone wzory robót umieszczonych w Dodatku Mód można nabywać w Administracji „Bluszczu” po cenach następujących: obrus — makata — ekran zł. 2.50; poduszka — serwetka zł. 1.50; drobne desenie gr. 75.

## SPROSTOWANIE

W artykule p. t. „Z powodu ostatnich przekładów J. Conrada” w № 47 „Bluszczu” str. 865, znajdują się następujące błędy drukarskie.

W drugiej kolumnie w wierszu 33 i 34 od dołu zamiast: „Forma ta i budowa rodzi się, rośnie i wikła samo życie” — powinno być: „Forma ta i budowa rodzi się, rośnie i wikła, jak rodzi się, rośnie i wikła samo życie.”

W tejże kolumnie wiersz 15 od dołu zamiast „czasu”, powinno być „czaru.”

Pod artykułem powinien być podpis: *Marja Dąbrowska.*

## Nadesłane do Redakcji

(Za dział ten Redakcja nie odpowiada).

### PORADY KOSMETYCZNE.

*Maryli.* Zbyteczne. Głowę myć mydłem płynnym jak „Pinol.”

*Zofii Z.* „Petunja” d-ra Leroux. Smarować miejsca pokryte piegami 1—2 razy dziennie. Czy wysłać?

*Nauczycielce.* Wyliczone przez Panią kremyjską bezwartościowe. Wyślemy Pani francuski krem „Salome”, rzeczywiście udelikatniający, zmarszczki lekko rozprowadzać tym kremem, stale codzień, przed i po umyciu.

*Porucz. M. K.* Wystaliśmy ang. płyn „Bisare.” Należy nim smarować głowę co drugi dzień. Łupież zniknie, bujny zarost powróci.

*Dr. Roemer.*

Listy proszę adresować do mnie pod adresem Administracji „Bluszczu.”

### Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

*Kaliszanca.* Pomadkę do ust radzę stosować, jako środek zapobiegający pękaniu warg na mrozie. Dla nadania jednak naturalnego koloru (który się nie zmywa i nie plami) radzę stosować płyn „Rosein”, który bardzo ożywia usta, i przy użyciu którego, nikt nie jest w stanie poznać, że na ustach jest cokolwiek sztuki.

*Bardzo mądrej.* Niepotrzebnie Pani szuka środka na wybielenie zębów, bo jest już dawno znany proszek „Albol”, który nawet szerniałe zęby od papierosów, już po kilku użyciach doprowadza do śnieżnej białości. Jest on nie tylko nieszkodliwy, ale przeciwnie, doskonale odświeża i dezynfekuje jamę ustną. Ręczę, że gdy Pani spróbuje myć zęby proszkiem „Albol”, żadnego innego proszku używać Pani nie będzie.

*Natalji K.* Aby nie zaziębiać głowy i tem samem nie osłabiać cebulek włosowych, radzę myć głowę na sucho pudrem „Florentin.” Łupież i wypadanie powstrzyma Pani używając płynu „Tetra.”

*Mm. Erceðs.*

Środki tu wymione nabywać można w drogerjach i perfumerjach. Skład główny: Warszawa, Perfection, Szpitalna № 10.

## OD WYDAWNICTWA

ZAWIADAMIAMY, ŻE MIMO IŻ NAZWA FIRMY WYDAWNICZEJ NASZEGO PISMA ULEGŁA ZMIANIE, WŁAŚCICIELE I WYDAWCY PISMA POZOSTALI CI SAMI.

**OGŁOSZENIA** przyjmują prócz administracji „BLUSZCZU”: Tow. Akc. „REKLAMA POLSKA,” Warszawa, Jasna 10, BIURO OGŁOSZEŃ T. PIETRASZEK—Marszałkowska 115, **OGŁOSZENIA**  
L. i E. MENTZL i Sp.—Marszałkowska 130, BIURO DZIENNIKÓW S. UNGRA—Senatorska 12, Polsko-Ameryk. Tow. „NOWA REKLAMA”  
Długa 9 i I. BUCHWEITZ—Marszałkowska 107.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ,” Sp. z ogr. odp. Redaktorka: WANDA PEŁCZYŃSKA.  
Dział praktyczny oraz dodatek mód i robót pod redakcją MARJI PODHORSKIEJ-OKOŁÓW.  
Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 2. Tel. 239.40.